

Herrman Siedermaann,

JAN CHRZCICIEL

W 241.

Frank, c



5



~~W. Rappe~~ 09209
VIII a.

HERMAN SUDERMANN.

—1881—

Biblioteka powiatowa: 311, 312.

JAN CHRZCICIEL

(JOHANNES.)

Tragedya w 5. aktach

~~BIBLIOTEKA N. 288/289~~

Z PROLOGIEM

~~MIŁOŚLAW RAPPE~~
przełożył

Jan Kasprowicz.

~~W. Rappe~~
VI 241

Złoczów.

Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.
1900.

~~Biblioteka uniwersyteckiego ludowego~~
A. Mickiewicza w Przemyślu

~~2578 248.~~

A-18456

Wszelkie prawa zastrzeżone.



1000171547

BIBLIOTEKA

UMCS
LUBLIN

an. herat. 13c

K 1160 / 56 / 5773

~~Biblioteka uniwersytecka, ludowa~~

~~Im. A. Mickiewicza w Przemyślu.~~

~~L: 2548~~

OSCBY:

Heród Antypas, tetrarcha Galileji.

Herodjada.

Salome, jej córka.

Witeliusz, legat syryjski.

Marcellus, jego towarzysz.

Merokles, detor

Gabal, Syryjczyk } na dworze Antypasa.

Jabad, lewita }

Jan, nazwany Chrzcicielem.

Jozafat

Maciej } jego uczniowie.

Amarja }

Manasse.

Jael, żona Jozafata.

Dwoje ich dzieci.

Hadidja, służebnica w pałacu.

Mirjam

Abi } towarzyszki Salomy.

Maecha }

Mezulemet, żebraczka.

Amazai

Jorab } faryzeusze.

Eljakim

Pasur } obywatele jerozolimscy.

Hachmoni

Szymon, Galilejczyk.

Pierwszy Galilejczyk.

Drugi Galilejczyk.

Paralityk.

Pierwszy kapłan.

Drugi kapłan.

Obywatel jerozolimski.

Naczelny dowódzca najemników rzymskich.

Pierwszy

Drugi

Trzeci

} najemnicy rzymacy.

Dozorca pałaców.

Dozorca więzienia.

Mężowie i niewiasty jerozolimskie. Pielgrzymi. Najemnicy rzymscy. Słudzy pałacowi i służebnice.

Rzecz dzieje się r. 29 po Nar. Chr.

Miejsce: W prologu skalista pustynia w pobliżu Jerozolimy. W pierwszym, drugim i trzecim akcie Jerozolima; w czwartym i piątym jedno z miast Galilejskich.

PROLOG.

Dzika okolica skalista w pobliżu Jerozolimy... Noc...
Księżyc martwym przeziera światłem z za podartych
obłoków... W dali na widnokręgu widać blask ognia
z wielkiego ołtarza całopalnego.

SCENA PIERWSZA.

W głębi, z prawej i lewej strony suną grupy ciemnych
postaci. Hadidja i Mirjam, wchodząc z przodu.

Mirjam. Hadidjo! boję się.

Hadidja. Chodź!

Mirjam. Boję się. Nie widzisz przemykających
tam postaci? Stopa ich nie dotyka głazu, a ich
ciało jest jako tchnienie wiatru nocnego.

Hadidja. Głupia! Boisz się tych, których nę-
dza uczyniła twoimi rodzonymi. Twoja to nie-
dola pędzi ich tutaj, twoja nadzieja pcha ich ku
wyżynom.

Mirjam. A więc i oni do niego?

Hadidja. Wszyscy ku niemu się garną. Aż
jest światło w Izraelu, któreby nie od jego biło
skroni? Aż jest woda dla pragnących, któraby
nie z jego sączyła się ręki?

Mirjam. Ale ja go się boję.... Przecz on zamieszkał śród strachów pustyni? Przecz ucieka przed krokami radujących się i schodzi z drogi cierpiącym?

Hadidja. Radujący się nie potrzebują go, a ci, którzy cierpią, drogę znajdują sami.

Mirjam. Widzisz tę łunę, Hadidjo, tam, gdzie leży Jeruzalem? Rzymianin pali nasze domy, a my tutaj?

Hadidja. Jakto? Nie znasz wielkiego ołtarza, na którym kapłani dzień i noc składają ofiary z dziesięciny pęta naszego?

Mirjam przerażona, z zdumieniem. Żali on pragnie, aby padł i ołtarz wielki?

Hadidja. Nie wiem. Atoli czego on pragnie, dobrem to będzie.... Spójrz, któż to nadchodzi?

SCENA DRUGA.

Tamte. Dwaj mężowie pół niosąc, pół wlokąc za sobą Paralityka jęczącego. Później Manasse.

Pierwszy mąż. Hej, niewiasty, nie spotkałyście wielkiego rabbi, którego zowią Chrzcicielem?

Hadidja. Szukamy Chrzciciela jak i wy.

Paralityk jęcząc. Połóżcie mnie. — Dajcie mi umrzeć.

Pierwszy mąż. Na rękach naszych wnieśliśmy tego paralityka — strudzone są ręce nasze, a tutaj niema tego, w którym jest nasza nadzieja.

Paralityk jęcząc. Dajcie mi umrzeć.

Głos Manassego z prawej strony — wołający. Janie! Janie!

Manasse wpada na scenę. Janie, gdzie jesteś? Janie! Wołam ku tobie w niedoli mojej. Zlituj się! Ukaż się, Janie!

Mirjam wskazując na lewo. Patrzaj, tam oto zbliża się gromada ludzi. A jeden postępuje przodem.

Hadidja. Skłoń się — to on!

SCENA TRZECIA.

Tamci. Jan. Poza nim szereg mężów i niewiast, pomiędzy tymi *Amarja*.

Jan. Czyja to nędza tak wielką, że skarga jej objawia się w skwapliwości głosu, a boleść jej straciła możność milczenia?

Manasse kłękając przed nim. Rabbi! Wielki rabbi! jeżeliś tym, którego imię powszechnem jest na ulicach jerozalemskich, pomóż mi, wybaw mnie, pomóż mi!

Jan. Wstań i mów...

Manasse. Jestem Manasse, syn Jezuela, a ojciec mój był słaby i ślepy, a mieszkałem z nim przy drodze ku Gibeonowi — obok cystern wiecznie bijących. I mężowie przybyli ku mnie i rzekli: Pan i Bóg nasz chce, abyś czynszu odmówił Rzymianinowi. I wpadli na mnie żołnierze i dom mój spalili, a w płomieniach młoda zginęła małżonka i dziecko moje i ojciec mój — a ten był ślepy. Dopomóż, rabbi! dopomóż!

Jan. Aż ja panem życia śmierci, abym ci wskrzesił ojca, dziecko i żonę? Aż mogę odbudować ci dom z jego popiołów? Czego ty żądasz odemnie?

Manasse. Zasię przekłęci niech będą ci, którzy mnie —

Jan. Stój! Dość już zawisło klątwy nad nami. Tak ona ciąży na Izraelu, jak na jesieni ciężą grona winne... A jeśli nie umiesz uciszyć narzekania swego, włóż sobie knebel między zęby, albowiem milczące jedynie modły być mają i tęsknota i cierpliwe czekanie — bez tchu.

Manasse. Na cóż mi to zda się, rabbi? Patrz, oto jestem sam!

Jan. Przecz bluźnisz? Aż On nie jest z tobą?

Manasse. Rabbi, powiedz: kto?

Amarja. Słuchajcie! Nie posłyszał jeszcze nowiny o Tym, który ma przyjść.

Wielu z pośród ludu. Nie wiesz o Tym, który ma przyjść?

Jan. Żali nie wiadomo ci, że maluczko, a rozradowanie będzie w Izraelu i szaty będą weselne i cymbały? Żali nie wiadomo-ci, że z pośród Izraela wszystko zniknie cierpienie? Przeto zmjęć pianę z ust twych i kajaj się.

Wszyscy. Kajaj się!

Manasse. Zniknie wszystko cierpienie?... Zniknie wszystko cierpienie?... Rabbi, rzeknij, mogą-li zostać przy tobie?

Jan. Przyłącz się tam do tych i naucz się milczeć.

Manasse nieśmiało. Rabbi!... Cofa się.

Jan. Nie widzę Jozafata pomiędzy wami i Macieja też niema. Któż ma o nich wiadomość?

Amarja. Rabbi, nikt się z nimi nie spotkał.

Jan. Cóż to się czołga po ziemi i jęczy?

Paralityk. Panie, biedny jestem paralityk i wielkie znoszę męczarnie. Jeśli ty nie pomożesz, wolę umrzeć.

Jan. Teraz chcesz umrzeć, teraz, gdy zbliża się ten, który bolączkom twoim niesie ukojenie i balsam wrzodom twoim? Mówię tobie: W radości i weselu dziękować będziesz Bogu i Panu za każdą godzinę twych cierpień, za każde czołganie na poczerwieniałych kolanach, gdy ujrzysz Tego, w którym jest nadzieja duszy naszej, którego na drodze ku wschodowi oczekujemy w czuwaniu i cierpliwości. Przeto siedmiorakie znoś katusze i przestań szemrać.

Paralityk. Rabbi, wielką spełniłeś moc nademną. Ja już nic nie czuję... ja... chce wstać i pada napowrót. Towarzysze jego odprowadzają go w głąb, a on oddycha z ulgą i uśmiecha się. Szmer pomiędzy ludem. Oto jest cud!... On cuda czyni!

Jeden z tłumu. Zaprawdę, spełnia się czas. Eliasza powstał z martwych. Prorok wielki wstał z martwych.

Inny. Nie, nie Eliasza ani nie żaden z proroków... Czyż nie widzicie, — wy ślepcy? on to

jest, który ma przyjść! On jest ten obiecany! Módlcie się do niego! módlcie się! Wszyscy padają na kolana.

Jan. Zaczółgał się, dotknięty febrą, na ulicę i rozglądał się, ażali nie nadejdzie lekarz... A gdy drogą przechodził żebrak lub wyrobnik z wiadrami wody, upadał przed nim na kolana i krzyczał: Cześć ci, wielki lekarzu! Dzięki ci, żeś przybył. — I tak czynił to aż do samego wieczora, a dzieci naigrawały się z niego. Lud zwolna powstaje z ziemi. Cóż ja mogę wam dać, ja — żebrak? A woda, którą wam niosę na chrzest, to marna woda pokuty. Ale ten, który przyjdzie po mnie, on was chrzcić będzie z ducha i ognia. A jam nie godzien nachylić się i rozwiązać rzemieni trzewików jego. Tak lichy jestem przed nim.

Jeden z tłumu. Rabbi, powiedz, kiedy przyjdzie ten, o którym mówisz?

Inni. Któż nim jest, rabbi?! Ulituj się! Umoćnij nasze dusze! Mów nam o nim!

Jan. Usiądźcie kołem i słuchajcie nowiny, którą wam podam — wy nienasyceni! Tłum siada na ziemi.

Mirjam. Haǰidjo, cóż on nam powie?

Hadidja. Umilknij.

Mirjam. Pozwól mi objąć twą rękę, Hadidjo!

Jan. Działo się nad Jordanem. I chrzcilem wszystkich. posłuszny wezwaniu pańskiemu. I mnogo było ludu naokoło mnie i wierzyło mi, ale dusza moja pożerała się wątpieniem. W tem z wyso-

kości zestąpił młodzian — samotny. I cofnął się
wszystek lud... A kiedyś podniósł oczy ku niemu,
wiedziałem, że to jest on! Albowiem jasność
Przedwiecznego spoczywała na nim... A gdy
przemówił do mnie i zażądał chrztu, jak jeden
z grzeszników, broniłem się, drżąc, i rzekłem:
„Mnie Tyś ochrzcić powinien, a Ty przychodzisz
do mnie? On zaś odpowiedział: Spełń teraz,
o co cię proszę, albowiem godzi się nam wszyst-
kim czynić sprawiedliwość. I nachyliłem się ku
niemu i postąpiłem, jak żądał... A gdy ochrzczony
był mą ręką drżącą, wyszedł natychmiast z wody
i oto nagle rozwarły się niebiosy ponad nim i wi-
działem ducha świętego, spływającego nań w po-
staci białej gołębicy, i światłość błogosławionych
otuliła prawie całego. I oto z niebios ozwał się
głos: Tenci jest syn mój miły, w którym sobie
upodobałem... I wtedy na twarz upadłem i mo-
dliłem się. I lęk opuścił mą duszę...

Jeden z tłumy. I gdzież jest ten, na którego
z światłości bożej spłynęła taka łaska?

Wszyscy. Tak, gdzież on jest? Nie zatrzyma-
łeś go?

Jan. Czego chcecie odemnie? On przychodzi
i odchodzi i nikt go nie powstrzyma. Któż może
powiedzieć, azaż On tej chwili nie zasiada pomiędzy
nami w tem kole?

Wszyscy mlerzą się wzajemnie przerażony i ba-
dawczym wzrokiem

Amarja. Rabbi, my wszyscy ubogimi jesteśmy rzemieślnikami z Jeruzalemu i jeden zna drugiego.

Jeden z tłumu wskazując na Mirjam. Mężowie — tak, ale jest niewiasta pomiędzy nami, której nigdy nie widział.

Hadilja. Nazywa się Miriam i jest w pałacu służebnicą, tak samo jak ja.

Jan. Zostawcie ją w spokoju.

Inny. Lecz jeśli ten, o którym mówisz, żyje pomiędzy żywymi, musi mieć imię swoje i imię ojca swojego?

Wszyscy. Tak, imię! imię, powiedz nam imię!

Jan. Chcecie wiedzieć imię?... Słyszycie ten wiatr pomiędzy głazami? zważajcie dobrze, co mówi, zanim wam ucieknie!... Tak i imię, to tu, to tam, przemknęło mimo uszu moich... I czekam w bojaźni i modlitwie, żali nie usłyszę go znowu.

Amarja. Ale jeden daj nam drogowskaz: Skąd przyszedł do ciebie ten — ten — ten —

Jan. Od Galileji powiał wiatr, który mi go przyniósł.

Wszyscy. Od Galileji?

Jeden z tłumu. Te Galilejczyki, te rybojady — oni mają mieć mesyasa — oni?

Inny. Niech do nas przyjdzie, do nas, Judejczyków!... Dalej!... pójdźmy go — szukać!

Jan. Mniemacie, że da się znaleźć wam, nędznym w tej pysze i w tym rokoszu? Kim wy jesteście, ażebyście choć o rozmiar jednego włosa

zmienić mieli drogę świata?... Ale gdy dzień jego żniwa nadejdzie, wówczas z własnej woli stanie przed wami, jaśniejący król zastępów! — A przed nim czterej cherubini — na rumakach pancernych — z płomienistymi sierpami — aby żąć i tratować... Dla tego, mężowie Izraela, pielcie chwast, który się rozplenia i pożera ciało wasze, abyście nie zmarnieli razem z tymi, którzy was zmarnować zechcą — gdy On nadejdzie z łukiem siedmiobarwnej tęczy nokoło głowy — On, który ma przyjść, który musi przyjść... musi przyjść.

Jeden z tłumu. Rabbi, uczyniliśmy pokutę za grzechy nasze, modlimy się dzień i noc, a ciała nasze schną od postów... rzeknij, co czynić mamy jeszcze ponadto?

SCENA CZWARTA.

Tamci. Jozafat. Maciej.

Jan. Jozafacie, ty to idziesz? I ty, Macieju?

Jozafat. Mistrzu, nie łaj nas, jeżeliśmy się wahali. Staliśmy przed pałacem Heroda, zwykle ciemnym i pustym, i widzieliśmy czerwony ogień świec i słupy owite kwiatami. Nowa idzie hańba na Izraela, nowe on dźwigać będzie grzechy śmiertelne, jeśli ty nie pomożesz, rabbi!

Jan. Mów!

Jozafat. Nie Herod to przybył z Galileji na

święto paschy, jak zwykle, co roku. Oczekują go dopiero jutro. Inny to zjawił się gość. Filipowi, bratu Heroda, uciekła żona, a z nią Salome, córka Filipa. Gość w pałacu nazywa się Herodjadą, a jutro ma się odbyć wesele.

Jan. Pomiędzy Herodem a żoną jego rodzynego brata?

Jozafat. Tyś powiedział, rabbi!

Jan. Nie, mówię tobie, ten, kto ci rzekł o tem, bezwstydnie miał usta, a duszą jego kłamała.

Amarja. Wybacz, rabbi! Ależ tu były służebnice z pałacu.. Zdawałoby się — że —

Jan. Hadidjo! znam ciebie, mów!

Hadidja. Rabbi, zbyt lichą ma służba. Słyszę tylko, o czem mi donoszą próżniacy. Ale jest tutaj Mirjam, wybrano ją za towarzyszkę młodej Salomy, odkąd wczoraj przybyła do nas, obsługiwać ją musi i kąpać. Jej się zapytaj!

Jan. Mirjam!... Dlaczego milczysz?

Hadidja. Rabbi, nigdy jeszcze nie przemawiała w obliczu mężów obcych.

Mirjam jakąś się, po cichu. Mistrzu — prawdą — co mówił ten człowiek — a — poruszenie.

Jan. Mów dalej!

Mirjam. A po weselu — w pierwszy dzień paschy — Herodyada pragnie wejść do świątyni, aż do przedsionka kobiet — przy boku nowego małżonka — chcąc się pokazać ludowi.

Jan. Aby ją lud ukamienował? Ale co ja mówię?... Jakkolwiek oddani są rozpuście owi kapłani, jakkolwiek przed Rzymianinem, jak ostatni tchórze, w proch upadają, na to się przecież nie odważą. Przed kazirodcą spiżowe zamkną bramice, zasię arcykapłan wyciągnie ręce nad nimi, aby ich przekląć.

Hadidja. Mirjam, mów!

Jan. Cóż jeszcze powiesz, Mirjam?

Mirjam. Mistrzu! Posłańcy krążą w tej chwili pomiędzy Herodjadą a świątynią. Księżna żąda, by arcykapłan wyszedł naprzeciw niej z błogosławieństwem aż do miejsca, gdzie mężowie odzielają się od niewiast. Wielkie poruszenie.

Jan. Dobrze. — Wróćcie wszyscy do domu. Pragnę zostać sam. Jutro ujrzycie mnie w Jeruzalemie. Przerażenie.

Jeden z tłumu. Rabbi, chcesz się oddać w ręce swych wrogów.

Inni. Pamiętaj, rabbi! Faryzeusze pojmać cię każą... a kapłani sądzić cię będą.

Jan. Jam syn kapłana... Z kapłańskiem zwrócę się słowem do tych, którzy ten krwawy niecą tam pożar... Przemawiać będę w imieniu tego, który ma przyjść, a któremu gotuję drogę ciałem mojem. Idźcie! Gdy ci się wahają, gniewnie. Idźcie!

Zasłona spada.

Akt pierwszy.

Plac przed pałacem Heroda. Na prawo pałac, na przedzie, wbudowana w niego strażnica najemnych żołnierzy rzymskich, z ławkami przed drzwiami. W środku na prawo brama główna. W głębi stopnie schodów, prowadzących na szczyt wzgórza. Poza tem, oddzielone niewidzialną doliną, widać masy domostw innej dzielnicy miasta. Lewą stronę zapełniają domy z płaskimi dachami i rozpiętymi namiotami od stłńca. W środku na lewo ulica, na przedzie inna ulica, którą należy wyobrazić sobie jako dalszy ciąg prowadzącej na prawo obok strażnicy. Przy ulicy tej stragan handlarza wełny Eljakima, po prawym zaś boku stragan handlarza owoców Pasura z nagromadzonymi zapasami. Studnia z poręczą zwrócona ku środkowi sceny.

SCENA PIERWSZA.

Eljakim. Pasur. Pierwszy, drugi, trzeci najemnik rzymski.

Pasur bojaźliwie spogląda w stronę żołnierzy, siedzących przed strażnicą, — postępując naprzód. Sąsiedzie!... sąsiedzie, nie słyszysz?

Eljakim który, siedząc przed swoim sklepem, rozczytuje się w zwojach przykazań. Napisano jest: życie utracił, kto przerywa drugiemu, gdy ten czyta w przykazaniu.

Pasur przerażony. Ach! ty czytasz w przykazaniu?

Eljakim. Nie wiesz tego? Czytam w przykazaniu dzień i noc.

Pasur. Przebacz mi, sąsiedzie, i nie czyń doniesienia o tem. Zgrzeszyłem z nieświadomości. Strach mnie

przejął na widok żołnierzy, którzy się tam usadowili — ale już odchodzę. Wymyka się przed swój stragan.

Pierwszy najemnik do drugiego, ostrzącego miecz swój. Ty, Marku, co ty tak zawzięcie ostrzysz ten swój karkołap? Nie ma już w co walić. Te przeklęte żydowiny dosyć już mają. Nie prędko na drugi pozwolą sobie rokosz.

Drugi najemnik. Kto wie? Nos mój węszy krew, odkąd wczoraj roztasowało się tutaj to babsko. W domu Heroda przebiera się miarka, a ich tak zwani książęta bardzo są drażliwi.

Pierwszy najemnik. Tutaj w Judei nic oni przecież nie znaczą. My tutaj panami.

Drugi najemnik. Panami jesteśmy wszędzie, czy taki Herod istnieje lub nie.

Pierwszy najemnik. Cóż właściwie tych jerozalemczyków obchodzi tetrarcha Galileji?

Drugi najemnik. Tak, cóż tetrarchę galilejskiego obchodzi Jeruzalem? A przecież wlecze się dotąd dwa lub trzy razy do roku, ażeby potrzebę sobie nos o posadzkę świątyni, i potem znowu ucieka. Mówią, że wymaga tego ich Bóg... Głupi naród!

Pierwszy najemnik. A my musimy przy tem pełnić straż honorową. Dla obywatela rzymskiego piękne to zadanie.

SCENA DRUGA.

Tamci. Hadidja i dwie inne służebnice z dzbankami na głowie wychodzą z pałacu i idą do studni i tam czerpią wodę.

Drugi najemnik. Głupiś! Udajemy tylko, jakobyśmy tu byli dla jego honoru. Na prawdę to go strzeżemy. No, i on niebawem się zjawi.

Trzeci najemnik który tymczasem, nie biorąc udziału w rozmowie, przeciągał się na ławie, śpiewając pod nosem. Ciebie, słodka Lalage, wiecznie kochać ja będę. Ciebie, słodka Lalage! —

Drugi najemnik gniewnie. Przestańże nareszcie wyc za tą swoją Lalagą. Zanim wrócimy do Rzymu, ona już od dawna babką będzie.

Trzeci najemnik przeciągając ramiona. Ach tak!

Drugi najemnik wskazując na służebnice. Czyż tu nie ma dosyć kobiet?

Trzeci najemnik. E! te! To dziewczki żydowskie. Przepisana jest za to kara śmierci dla nich.

Drugi najemnik. Głupi naród!

Trzeci najemnik. Gdyby nie było cudzoziemek! He! — wczorajszej nocy syryjska kochaneczka darowała mi swój naszyjnik. Patrzenie!... Będziemy rzucać kości o niego?

Drugi najemnik. Pokaż! Stoi za pięćdziesiąt denarów.

Trzeci najemnik. Złodzieju! Sto pięćdziesiąt!

Drugi najemnik. Dobrze.

Pierwszy najemnik. I ja z wami!

Trzeci najemnik. Chodźcie!

Wszyscy trzej wracają do strażnicy.

SCENA TRZECIA.

Eljakim. Pasur. Hadidja i dwie inne służebnice. Dwaj kapłani schodzący środkowemi schodami.

Pierwszy kapłan. Dziewczęta, czyście z pałacu?

Hadidja. Tak, kapłanie.

Pierwszy kapłan. Zameldujcie nas swojej pani.

Hadidja. Pani nasza wyszła na spotkanie Heroda aż do bramy, aby go powitać.

Pierwszy kapłan. Kiedy wróci?

Hadidja. Nie wiemy, kapłanie! Zależy to od przybycia księcia.

Pierwszy kapłan. Pragniesz błogosławieństwa od nas?

Hadidja. Nie. Wchodził wraz z dwiema służebnicami do wnętrza pałacu.

Obaj kapłani patrzą na siebie zdumieni.

Pierwszy kapłan spostrzega Eljakima i Pasura, siedzących przed drzwiami swych domostw, i z namaszczeniem podnosi ręce. Błogosławieństwo wam, którzy —

Eljakim. Nikt waszego błogosławieństwa nie pragnął.

Obaj kapłani znów patrzą na siebie.

Drugi kapłan z wściekłością. I ci są ze szkoły faryzeuszów.

Pierwszy kapłan. My utrzymujemy świątynię, nam oni służą. Chodź.

Obaj kapłani odchodzą.

SCENA CZWARTA.

Eljakim. Pasur.

Pasur zbliżając się pokornie. Wybacz, sąsiedzie, teraz chyba nie czytasz w przykazaniu?

Eljakim. Nie.

Pasur. Ach, nędzna to będzie pascha dla nas handlarzy. Spójrz tylko, czego ja nakupił! Oto jest święte drzewo granatu, aby jagnię upiec na niem, a tutaj, widzisz, korzenie do przygotowania słodkiej polewki, wszystko według przepisów. Za sześć, najpóźniej za siedm godzin rozpocznie się uroczystość i ja zostanę z wszystkim swoim towarem. O biada mi! biada!

Eljakim. A i ja — czy nie mam również przeważnie świętych tylko rzeczy? Patrzaj. Moje teflim to najpiękniejsze teflim, jakie kiedykolwiek który z synów Abrahama miał przy rannej modlitwie. Sam Abraham nie nosił piękniejszych teflim. Zdaje mi się, że mam ich ośmnaście tuzinów. Ale ty nie staraj się o dobro ciała, tylko czytaj w przykazaniu, tak mówi Pismo.

Pasur. Handlującemu jarzyną i owocami nie łatwo, sąsiedzie, sprawiedliwym być mężem przed Panem. Wełna twoja wytrzyma, dopóki nie opuści nas Herod wraz z nową swą żoną.

Eljakim grożąc pięścią pałacowi. O zgroza! zgroza! zgroza!

Pasur. Tak, tu zwykle dobre było miejsce dla handlu. Ale teraz trawa rośnie przed pałacem.

Eljakim. Tylko kapłani wchodzą i wychodzą.

SCENA PIĄTA.

Tamci. Obywatel jeruzalemski który dzban swój napełnił wodą.

Obywatel żałośliwie. Sąsiedzie! kochany sąsiedzie!

Eljakim. Cóż takiego?

Obywatel. Tyś mąż sprawiedliwy! ty znasz przykazanie. Błogosławiony będziesz, gdy udzielisz mi rady. Biedna moja żona wywichnęła sobie nogę w polu, noga gorąca jest i nabrzmiała, a teraz zlewam ją zimną wodą ze studni. I to jej ulgę sprawia. Ale w krótkce święto się zaczyna. Czy mogę wówczas zlewać dalej?

Eljakim. Shańbienie sabatu. Winien jesteś śmierci.

Obywatel. Panie przedwieczny!

Eljakim. Tak, gdyby ją gardło bolało, wówczas mógłbyś lekarstwo włożyć jej do ust, na to przykazanie pozwala... Noga? — Nie!

Obywatel. A gdy się zaogni?

Eljakim. Tak, gdy się zaogni i jest niebezpieczeństwo życia, wówczas przykazanie zezwala.

Obywatel z rozpaczliwym krzykiem. Ale wówczas będzie zapóźno! Tymczasem nadczedł z tylnej ulicy mąż w płaszczu fałdzistym i spokojnie przypatruje się pałacowi Heroda.

Eliakim z przerażeniem wskazując na niego. Cyt!... Jeśli-ć życie miłe... Spojrz — tam, na tego człowieka. To Dawid, jeden z zelotów, mieszkających w pustyni. Schodzą do miast z krótkim sztyltem pod płaszczem. A gdy spotkają kogo, który grzeszy przeciw przykazaniu — słowem lub czynem, uderzają nań z tyłu. Obcy człowiek się zbliża, Eliakim wstaje. Bądź pozdrowiony, mężu święty! Patrz, oto ja znam ciebie. Nie pobłogosławisz sługi twego? Obcy człowiek mija ich i ginie w ulicy z przodu na lewo.

Pasur. Zimny dreszcz mnie przeszedł. Człowiek zgrzeszyć może, nie wiadomo, kiedy.

Obywatel. Ile jeszcze godzin upłynie, zanim święto się rozpocznie?

Eliakim patrząc na słońce. Sześć.

Obywatel. Do tego czasu będę chłodził... Co będzie potem? Odchodzi smutny z swym dzbanem.

Pasur. Zaprawdę, ścigani jesteśmy, jak łanie, my Hebrejczycy. Nie bije nas Rzymianin, to bije nas przykazanie.

SCENA SZÓSTA.

Tamci. Scena do połowy zapełniła się ludem, który gestykulując z wzburzenia, spogląda na pałac Heroda; pomiędzy tymi **Hachmoni**. Później **Najemnicy**.

Eliakim. Cóż się tam stało? **Hachmoni**, ty mi powiedz. Cóż się stało ludowi?

Hachmoni. Nie wiesz jeszcze? Jan jest w mieście.

Eljakim. Niemáto jest Janów.

Hachmoni. Chrzciciel, człowieku!

Eljakim. Chrzciciel? Wróg kapłanów i faryzeuszów? Któremu każdy Chabr śmierć poprzyściągł? Schwyciliście go nareszcie?

Hachmoni. Mówisz, jakby przez sen. Jeżeli w tej chwili jest kto panem w Izraelu obok klątwy Rzymianina, to on nim jest. Staje na rynku i każe; staje przed Owczą Bramą i każe — co ja mówię? — każe? Pożogi z ust jego wychodzą, skorpiony wyskakują z ust jego.

Eljakim. Przeciw komu każe?

Hachmoni. Naturalnie, przeciw Herodowi. I jego nałożnicy. I przeciw płodowi nałożnicy.

Wszyscy. Precz z Herodem! Śmierć Herodowi! Pierwszy i drugi najemnik wyszli przed bramę strażnicy.

Pierwszy najemnik. Cóż tak wrzeszczy ta zgraja zapadłooka?

Drugi najemnik. Śmierć Herodowi! Co ci powiedziałem?! Mogę się spuścić na mój nos! Rusza mieczem w pochwie.

Pasur. Bacność! Żołnierze! Wszyscy cofają się.

Pierwszy najemnik z śmiechem. Stchórzyła — zgraja! Wchodzą, śmiejąc się, do strażnicy.

SCENA SIÓDMA.

Tamci. Amazai i Jorab z przodu na lewo jeszcze w ulicy.

Amazai. Spojrz na nich! Nie jest to brud i pośmiewisko przed Panem? kto, jako Chabr,

zbożnie kroczący drogami przykazania, może-li mieć wspólność z takimi grzesznikami?

Jorab. Pijani są kazaniami Chrzciciela, a przecież zbyt trzeźwi, by się nastawiać na żądło. Przemów do nich, niech odnajdą siebie.

Amazai. Poza plecami Chrzciciela? Wolę raczej wściekłego psa za ogon schwytać... Dlaczego my, faryzeusze, połknęliśmy ten gniew, który krzyk jego rozsiewa po ulicach? Naród łągnie do niego! Teraz zapóźno już dla nas. Schwyć go na jego szaleństwie o mesyaszu. Głosy zadowolenia z pośród tłumu. Słuchaj, tak oni dawniej nam się radowali! Cofają się w ulicę na lewo.

SCENA ÓSMA.

Tamci bez Amazaia i Joraba. Jan w towarzystwie Jozafata, Macieja, Manassego i nowego tłumu ludu zjawia się w głębi na lewo.

Jan rzuca się na poręcz studni.

Jozafat. Spojrz, rabbi, jaka ci moc jest dana. Łaszą się tobie, jak szczenięta. Jeruzalem, miasto święte, u stóp ci leży.

Jan. Dajcie mi wody

Manasse czerpie wodę.

Hachmoni. Spojrzycie: Wielki prorok pije, jak gdyby był jednym z nas.

Pasur. To, czem naodziaany, to włos wielbłąda. Ach, jak to musi drapać mu ciało. Widać, że świętym jest mężem.

Eljakim. Ale handlarzom wełny nie zarobić nie daje. Gdyby wszyscy byli takimi świętymi, moglibyśmy pójść na źebry.

Maciej. Odstąpcie. Nie widzicie, że mu się naprzykrzacie? Odstępują.

Jozafat. Rabbi, przebacz. Lud czeka. Co mu rozkażesz?

Jan. To jest dom Heroda?

Jozafat. Tak, rabbi. Milczenie. Rabbi, powiedz, co mamy czynić?

Jan. Azaliż ja ustanowiony jestem panem tego ludu? Pasterz niechaj owce swoje pędzi przez ciernie lub kwiaty. Ja łaknę puszczy. Ja pragnę skał moich.

Jozafat przerażony. Rabbi.

Jan. Zbudziłem serca uśpione, podnieciłem opieszających, błędzącym wskazałem drogę. Jeden jedyny wielki gniew przeciw Herodowi wzbija się płomieniem ku niebu. Teraz mogą mi pozwolić odejść, albo też przysłać mi zbirów swoich. Ale dotychczas żaden jeszcze kapłan nie odważył się zająć mi drogi. Mimo to --- dzieło moje w Jeruzalemie spełnione.

Maciej. Bynajmniej rabbi. Dzieło twoje się zaczyna. Jesteśmy przed wjazdem księcia. Lud potrzebuje kogoś, coby go prowadził.

Jan. Dokąd.

Maciej. Nie wiemy, rabbi.

Jan. A któż wie? Azaliż ja jestem z tych,

którzy wolę swoją zakuwają w łańcuchy zamiaru? Ja jestem głosem wołającego na puszczy. Do tego jam był powołany. Chodźcie. Wstaje.

Lud pchając się naprzód. Cześć Janowi!

Ponieważ chce odejść, zastępują mu drogę Amazai i Jorab.

SCENA DZIEWIĄTA.

Tamci. Amazai. Jorab.

Amazai. Wybacz, wielki proroku, żeśmy dotychczas na chrzest twój nie przyszli.

Jan. Któż wy jesteście?

Jozafat po cichu. Miej się na baczności, rabbi! Noszą szeroką obszewkę faryzeuszów. Bracia ich siedzą w Radzie.

Amazai. Gorliwi uczeni w piśmie, jesteśmy skromni ludzie, którym nauka o przykazaniach więcej przysporzyła zaszczytu, niż zasłużyli.

Jan. Być może. Ale czego żądacie?

Amazai. Sprzeczne wieści o czynach twoich doszły do naszych uszu. Wielu mówi, jakobyś był Eljaszem, a zasię inni opowiadają, iżes jest czemś więcej, niż on. Wierzymy chętnie, aczkolwiek nie czynisz jego cudów.

Pasur. Alboż to on na mnie cudu nie uczynił?

Eljakim. Na mnie żadnego cudu nie uczynił.

Pasur. Tak! tak!

Amazai. Słyszymy też wiele o twojem życiu pobożnem. jako że pościsz i modlisz się niby ten.

któremu jedzenie i picie i mowa ziemską jest zbytkiem. I my pościmy i my się modlimy i nasza żądza czynienia dobrze jest nienasycona. Atoli przykazanie jeszcze jest surowsze i żarliwsze od nas. Dlatego, rabbi, daj nam łaskę nauki swojej i powiedz: jak mamy obchodzić się z przykazaniem.

Jan. Jak? Nastawiacie sidła na mnie i doły swoje pokrywacie liściem i gałęzmi. Rodzie padalczy, któż wam to powiedział, że przyszłego unikniecie gniewu? Biada wam, gdy On nadejdzie, który jest mocniejszy odemnie. On ma już szufel w rękę swoim... On zmiecie klepisko swoje. Przenicę zbierze do gumien swoich, zasię plewy ogniem spali wieczystym.

Pasur. O kim on mówi?

Hachmoni. Cicho! O mesyaszu mówi.

Eljakim. O jakim mesyaszu?

Jorab. Chodź, Amazai! Lękam się tego człowieka.

Amazai odpierając go ręką. Zbliżyliśmy się do ciebie jako proszący, a ty nas złajaleś. I owszem. Albowiem że nas złajaleś, tak przyjmuję, że miałeś prawo do tego. Ten, o którym mówisz, że ma przyjść, dałci zapewne to prawo. Czy nie tak? Milczenie. Patrz, Izraelu! prorok twój milczy. Jeżeli mesyasz, ten mesyasz, o którym każe na puszczy, a teraz i na rynkach, nie dał mu prawa, aby nas łajał, to któż mu je dał? Znacie nas:

mężowie-ć my prości i bogobojni, idący za przykazaniem we wszystkich sprawach.

Jeden z ludu. Któż to jest?

Eljakim. Amazai, mądry uczony w piśmie.

Tłum szemrząc. Słyszycie — Amazai!

Inny. Rabbi, nie pobłogosławisz nas?

Amazai. Tak, nas którzy, że tak powiem, są niejako częścią przykazań. A my temu nigdyśmy nic złego nie wyrządzili. Jeżeli więc nam wrogiem jest, to dla tego jedynie, ponieważ wrogiem jest przykazania.

Jan. Kłamiesz!

Amazai. Owszem, jeżeli kłamię, to poucz mnie, wielki proroku, czym tobie jest przykazanie?

Jozafat po cichu. Tak rabbi, oświadczyć się, lud czeka na to.

Jan. Z przykazaniem, przed którym stoicie wy i wam podobni jako stróże i znawcy, nie mam nic do czynienia. Poruszenie w tłumie.

Jozafat. po cichu. Rabbi! Zastanów się. Nie rozumiem ciebie.

Jan. Ale nie przykazania ja nienawidzę. Ja nienawidzę was. Albowiem pięść wasza lud ten gniecie. A dobre uczynki wasze to jego ból!

Amazai. Trzeba jeszcze, byś nam to udowodnił, wielki proroku!

Jan. Kim wy jesteście, wy włóczynogi, wy, co całemu światu drogi wskazywać chcecie, że wam się zdaje, jakobyście w dziedzictwo wzięli przy-

kazanie i jego spełnienie? Tu oto pod razami batogów lud ujarzmiony, z ciężarem świata na plecach, cierpliwie czołga się drogą swoją, a wy chcecie mu powiedzieć, jak się ma czołgać?

Amazai. Tak, jakoś przecie czołgać się musi, wielki proroku!

Jan. Mniemasz? Wstać z prochu on musi!

Amazai. Tak po wieczne czasy wszyscy mówili podżegacze, a końcem był krzyż i szubienica. Ty, którego wielkim zowią prorokiem, posłuchaj mnie: Gdy Pan wybawił lud swój po raz pierwszy, wiesz-li, czem to uczynił? Przykazaniem... A gdy go wybawił po raz wtóry, wiesz-li, czem to uczynił? Przykazaniem... A jeśli przykazania tego strzeżemy, jeśli go pilnujemy, jeśli mu wyrastać każemy z samego siebie, w jakim czynimy to celu? Dla wybawienia. Albowiem w nas wszystkich ta sama żyje nadzieja. Tylko nie czynimy z tego krzyku na ulicach.

Tłum szemrząc. Ma słuszność... Tak, ma słuszność!

SCENA DZIESIĄTA.

Tamci. Pielgrzymi nadchodzą jeden po drugim i gaszą pragnienie przy studni. Pomiędzy nimi Szymon Galilejczyk.

Amazai. Patrz! — odwróć się! Spojrz na tych pielgrzymów! Z dalekich krajów przybyli z tobołkami swymi. Z Egiptu, od Eufratu, z Syrii, a nawet z przeklętej stolicy Rzymian. Nie

uważali ani na głód ani na pragnienie, na upał ni kurz. A dla czego przybyli? Dla tego samego przykazania, które ja i mnie podobni znamy i którego strzeżemy. A jeśliś powiedział: jako z tem nie masz nic do czynienia i znowu, że przykazanie nie jest u ciebie w nienawiści, to wytłómacz nam: jakie przykazanie masz, w miłości swojej? Poucz nas, wielki proroku i nie łaj nas!

Jan milczy, z nagłej niepewności.

Jozafat po cichu. Przestrzegałem cię, rabbi.

Amazai z śmiechem szyderczym. Otóż patrzcie, wy wszyscy! patrzcie! Zdaje mi się, ten wielki — Ponieważ zbliżyła się przypadkiem do niego chorowita kobieta, wielkim obciążona ciężarem, odwraca się gniewnie. Nie dotykaj się mnie, abym zasię nie stał się nieczysty. Nie widzisz, że jestem Chabrem?

Szymon Galilejczyk do kobiety. Nie, nie dotykaj go się, abys zasię i ty nie stała się nieczystą —

Amazai. Co—o—o—?

Szymon Galilejczyk. Albowiem ci, którzy się mianują Chaberim, faryzeusze, nieczystymi są sami z siebie. Chodź! Prowadź kobietę do studni.

Amazai. Bluźni Bogu! Szmer w tłumie. Bluźni Bogu! Chabr — i nieczysty? Mąż, który nic nie robi rankiem ni wieczorem, ni w dzień ni w noc, a tylko spełnia przykazanie, mąż, który obmywania święte wykonuje więcej, niż po trzykroć za wiele, mąż, który jedno wymawia błogosławieństwo nad chlebem a dwa nad posolonem,

ten mąż — ten na pół się krztusząc — Chabr ma być nieczysty!

Jan. Zaprawdę, nie znalazłem odpowiedzi na obscierne pytanie jego, i oto on sam jej wam udzielił.

Amazai. A choćby w tobie siedziało naraz siedm świń, — ty wielki proroku, naprzeciw tego świętym mi się wydajesz. Do Galilejczyka. Jakiż to zły duch opętał ciebie, człowieku? — Ażaliż ty żydem? Skąd ty pochodzisz? Jakie jest imię twoje?

Maciej po cichu. Nie wypowiadaj imienia, on chce cię zgubić.

Szymon Galilejczyk spokojnie. Jestem żydowinem, zowią się Szymonem i przybywam z Galileji.

Amazai. I znasz się na przykazaniu i ofiarach?

Szymon Galilejczyk. Ponad przykazaniem i ofiarą jest miłość. Oznaki przerażenia wśród tłumu.

Amazai. Czy widzicie teraz, że winien jest sądu? Po cichu a żarliwie podżega tłum.

Jan podszedł w wielkiem wzburzeniu do Galilejczyka. Kto ciebie tego nauczył? Ponleważ ten milczy, więc natarczywlej. Kto ciebie tego nauczył?

Maciej prędko, po cichu do Galilejczyka. Uciekaj, zanim cię pochwyca!

Szymon Galilejczyk potrząsa głową.

Jan. Ta wiedza serca twojego, prosta a straszliwa, na którą groza mnie przejmuję — ona nie pochodzi od ciebie. Tłum, podburzony przez Ama-

zała, naciera na Galilejczyka. Precz od niego! W imię tego, który ma przyjść, precz od niego! Tłum się cofa.

Pasur. Igrasz, mężu, z tęsknicą naszą, tak jak się igra z dziećmi.

Amazai. Tak, teraz mam i ciebie, co spragniony lud ten brudną poisz wodą. Gdzież jest ten, który ma przyjść? Gdzież twój mesyas? Gdzież król żydowski, o którym tak wykrzykujesz? Teraz nam go pokaż!

Tłum wściekły. Biada ci, jeśli nam go nie pokażesz. Słychać trąby z poza sceny. Nagłe milczenie. Żołnierze wychodzą z strażnicy.

Jan z mocą. Oto idzie król żydowski, na którego sobie zasługujecie.

SCENA JEDENASTA.

Tamci. Horod. Herodjada. Salome z świtą zjawiają się u góry na ostatnim planie. Szereg żołnierzy ustawił się przed bramą pałacu. Nadchodzący zstępują po stopniach na dół. Milczenie.

Jeden z świty. Cześć Herodowi! Wszyscy milczą. A krzycicie, wy psy!

Herod. Cóż tak się gapi ten tłum? Do dowódcy żołnierzy. Wy, co macie straż nademną, według rozkazu Rzymu, dla czego nie — spędzicie mi ich z drogi?!

Żołnierze na rozkaz dowódcy nacierają z wyciągniętymi dzidami na tłum.

Amazai stojący w przednim rzędzie, odwraca się z przeraźliwym „Biada mi! biada mi!” do ucieczki. Jorab idzie za nim, lud cofa się z cichym okrzykiem przestachu. Tylko Jan pozostaje z podniesioną głową na miejscu, mierząc Heroda wzrokiem.

Salome podnosząc kwef. Matko, spojrz na tego człowieka. Wystawał na rynku, a także przed bramą, wszędzie, którądyśmy przechodziły.

Herodjada. A wszędzie szmer był naokoło niego.

Salome. Patrz! błyskawice strzelają z oczu jego, matko, patrz!

Herod. Chodźcie, niewiasty! A jeślić pobożni atele jeruzalemscy zapomnieli, z jaką radością witać należy szczerp wielkiego Heroda, to, niech nadzieję, z wzrokiem, zwróconem ku dowódcy żołnierzy Rzym znowu ich nauczy.

Dowódzca wzrusza z lekkim uśmiechem ramionami.

Herod. Proszę, chodźcie!

Herod, Herodjada, Salome odchodzą z świtą do pałacu, żołnierze do strażnicy.

SCENA DWUNASTA.

Jan. Jozafat. Maciej. Manasse. Hachmoni. Pasur. Lud.

Hachmoni na czele tłumu, prącego naprzód. Przebacz nam, wielki proroku! faryzeusze uciekli, jak tchórze! Patrz! oto chwytamy się ciebie! Dopomóż nam!

Tłum. Dopomóż nam!

Jan jak we śnie. Powiedzcie mi, dokąd poszedł ten mąż galilejski?

Manasse. Rabbi, nie wiemy.

Jan. Poszukaj go! Przywiedź go do mnie.

Manasse. Tak, rabbi.

Jan. Czego żądacie?

Wszystek lud. Zostań z nami, wielki proroku! Błagamy ciebie! Pomóż nam.

Jan podejrzliwie, zatapiając się w myślach. Macieju, Jozafacie, nie powiedział on: miłość?

Zasłona spada.

Akt drugi.

Sala w stylu rzymskim w pałacu Heroda. Po prawej stronie kryta kolumnada z gankiem u góry, zapełniająca całą głębię sceny, a do której z boku prowadzą stopnie. Na ganku drzwi do pokoju Salomy. Pomiedzy temi na parterze drugie drzwi. W środku planu ostatniego wejście główne. Po lewej stronie okno. Opodal sofa i inne sprzęty. Na prawo pomiedzy dwiema kolumnami ganku krzesło zbytkowne. Dywany i skóry zwierząt drapieżnych. Urządzenie: mieszanina orjentalno-rzymska.

SCENA PIERWSZA.

Maecha, Mirjam, Abi na ganku, później *Salome*.

Dziewczęta schodzą ostrożnie i nadśłuchują, schyłone na dół.

Salome przez drzwi. Nie ma nikogo?

Maecha. Cichuteńko.

Salome. Więc chodźcie. Pierzchają na dół. A! jasno tutaj, w ścianach można się przeglądać. Wicie wy, dla czego naraz zamykają nas w komnatach na górze? Wczoraj mogłyśmy swobodnie biegać po wszystkich gankach, wolno nam było tańczyć bez zasłony po ogrodach i z okien przez kraty wyszydząć przechodniów, a dzisiaj, od chwili gdy zjawił się stryj, musimy godzinami siadywać w popiele i żałobie... Dla czego? Nie wie nikt, dla czego?

Maecha. Księżniczko, dom pełen jest obcych, których wczoraj nie było. A mężczyźni ze świty tetrarchy radzi skradają się za dziewczycami.

Salome. Niech tylko przyjdą, ja się żadnych mężczyzn nie boję... Podobają mi się tacy, jakimi są... Lubię ich takich, jakimi są.

Abi. Znasz mężczyzn, księżniczko?

Salome. Tych z naszego ludu nie mam na myśli. Noszą brody z puklami po bokach i zanim się spostrzeżesz, masz ich przed sobą boso... A potem, powiadają... a, ja tego nie lubię... Ale gdym pewnego razu była z ojcem w Antiochji, widziałam bladych młodzieńców o ciemno-złotawych kędziorach, nosili czerwone trzewiki i wońnieli pachnidłami... To Grecy, mówił mi ojciec, prawdziwi Grecy z Hellady. — Uśmiechali się... a mnie potem przechodziły dreszcze.. Dla czegoś taka posepna, Mirjam, i nie słuchasz, co mówię?...

Śmieję się, albo cię uderzę... Jeżeli śmiać się nie będziesz, każę cię obczować.

Mirjam. Każ mnie obczować, pani.

Salome. Gdzieś była tej nocy? Dozorczyni patlacu mówiła, że chciałaś odwiedzić swą krewną.... Zapewne masz kochanka? Powiedz, masz kochanka? Przymilając się. Mów mi o nim, po cichu, daruję ci złotą naramiennicę.

Mirjam. Nie mam nikogo, ktoby mnie kochał, pani.

Salome. Wasza mowa jałową jest, wy Judejki, a oczy wasze obłudne. A przecież lubię Jeruzalem. Purpurowy opar leży na jego dachach. I mnie się zdaje, że w Jeruzalem słońce ukradkiem całuje. Ale wy tego nie rozumiecie... Do tego trzeba mieć w żyłach krew wielkiego Heroda. Moja matka ją ma... A od niej ja mam... A choć utyskują na to w Jeruzalem, matka moja dobrze zrobiła, uciekając od tamtego. Bo ten tutaj jest czemś więcej, niż tamten. Rzuca się na sofę. Stryjowi Herodowi nie źle się podobam. Spostrzegłam, iż ukradkiem ściga mnie spojrzzeniami. Jeśli matka mnie łaje, wiem, czem jej dokuczam... Podśpiewując. Jam jest jako kwiat saroński i jako róża przy dolinach... A ten mój miły nie przyjdzie-ż on do ogrodu swego i — — Mirjam, gdzie wychodzi to okno?

Mirjam. Nie wiem pani; nigdy nie była w tej sali.

Salome. Więc idź i zobacz.

Mirjam spogląda przez okno i przeraża się.

Salome. Dla czego się przerażasz?

Mirjam. Przeraziłam się, księżno?

Salome. Powiedz, co tam widzisz?

Mirjam. Mnogo jest ludu naokoło studni...

i — —

Salome. I?

Mirjam. Nie mogę...

Salome wstaje i podchodzi ku oknu. A! Milcząco spogląda chwilę przez okno. *Mirjam*, któż to jest?

Mirjam zmieszana. O kogo się pytasz, księżno?

Salome. Jest-li kto więcej, prócz tego jednego?... *Mirjam*, ty luba, ciemnolica *Mirjam*! Póś grozić. Nie zapieraj go się!

Mirjam. To — Jan — Chrzciciel!

Abi i Maecha przybiegają zaciekawione. Chrzciciel?

Salome. Niech będzie kim chce... Patrzenie, jak go błagalny otacza tłum! Widziałyście kiedykolwiek z doliny waszej nachylającą się skałę? On się nie nachyla... Ha, ha, ha!... Ten nie... tylko — jeśli — może — Wyciąga ramiona.

SCENA DRUGA.

Tamte. Herodjada środkiem.

Maecha. Pani, matka twoja!

Wszystkie trzy dziewczęta uciekają od okna.

Herodjada. Co wy tu robicie, wy dziewczki?

Salome, ty?... mają-ż mówić, że do Jeruzalem zły wprowadzamy obyczaj?

Salome z zamlarem dokuczenia jej, ale nadzwyczaj pokornie. Zdaje mi się, matko, że tak mówią.

Herodjada gniewnie. Odejdź!

Salome. Odchodzę matko! Idzie na drugą stronę i zatrzymuje się pomiędzy kolumnami ganku.

Herodjada. Zostańcie, dziewczki... Jesteście, Judejki?

Maecha. Tak, pani.

Herodjada. Przyszły do mnie wieści, że jakiś człowiek, którego zowią Chrzcicielem, każe na nlicach i podlega do buntu. Która z was zna tego człowieka?

Maecha. Ta oto.

Abi. W tej chwili przyznała się do tego.

Herodjada. Co wiesz o nim?

Mirjam. Tyle, że dzisiejszej nocy modliłam się u stóp jego.

Salome przystępując do niej. Ty? ty?

Maecha. Wybacz, pani, w tej chwili jeszcze stał tuż pod murami pałacu.

Herodjada. Pokażcie mi go.

Maecha od okna. Już go nie ma.

Herodjada do Mirjam. Pobiegnij za nim i, znalazłszy, przyprowadź mi go potajemnie wskazując na dół na prawo tamtymi drzwiami.

Salome. Nie ona... ja nie chcę... nie ona!...

Herodjada. Dla czego nie ona?

Salome obejmując Mirjam. To moja najulubieńsza... Nie puszczeję jej od siebie! Podchodzi do Herodjady, zebrając: Matko!

Herodjada. Takiem jeszcze dzieckiem jesteś a — — do Mirjam. Idź!

Salome z groźbą. Mirjam?

Mirjam odchodzi.

Herodjada — — masz już ząb węża w uściech?

Salome klęka na sofie przed nią i obejmuje ją w błódrach. Przebacz, matko! Nie jesteśmy jak inne!... Kąsamy, kogo miłujemy.

Herodjada po cichu. A kogo nienawidzimy?

Salome po cichu. Tego całujemy.

Herodjada śmiejąc się. Dziecko! całuje ją.

Salome śmiejąc się. Pocałowałaś mnie.

SCENA TRZECIA.

Tamte. Dozorca pałaców.

Dozorca pałacu. Władzca mój, tetrarcha Herod, pragnie cię zobaczyć, księżno!

Herodjada z wzrastającym strachem nacląga kweś na twarz. Odejdź — spiesz — odejdź!

Salome. Matko, lękam się tych komnat. Nie wolno mi być z tobą?

Herodjada spoglądając ku drzwiom. Odejdź-że.

Salome odchodzi powoli z towarzyszkami schodami na dół.

Herodjada. Ty jesteś dozorcą pałacu?

Dozorca pałacu kłania się.

Herodjada. W takim razie postaw straż u tamtych drzwi. Ktoby wszedł, niech już nie wyjdzie...
A milcz!

Dozorca pałacu. Kto ciebie widział, ten wie, że jesteś władczynią. Jakżeż ja biedny nie miałbym milczeć? Odchodzi ku drzwiom.

SCENA CZWARTA.

Tamci. Herod. Gabal. Merokles. Jabad. Dozorca pałacu po ich nadejściu odchodzi.

Herod. Księżno, kto długo czekał chwili, ten chciałby szczęście swoje wypić do dna. — Dla tego całuje ją w czoło i usta przebacz!

Herodjada. Spoczywałeś? Rzeźwy-ś?

Herod. Nigdy tak się pytać nie powinnaś. Ojciec mój był jednym z tych, którzy się nigdy nie nużą. Wezglowie staje się zwykle zbrodnią dla syna; a — spostrzega Salome, która odślanając lekko kwef, spogląda nań z ganku, a gdy ją spostrzegł, znika.

Herodjada. Milczysz?

Herod. Córkę nie masz przy sobie?

Herodjada sucho. Nie.

Herod kiwa głową z chytrym uśmiechem. A jednak — nie odmawiaj mi tego, księżno. To przyjaciele moi, abym nie powiedział, słodzy, gdyż tymi nie są.

Merokles. O księżno, są nimi, aby mogli być przyjaciółmi.

Jabad. A są przyjaciółmi, ażeby mogli służyć, księżno!

Gabal. A płaci się im za jedno i drugie, księżno!

Herod z uśmiechem. Ten łotrzyk, którego gębę syryjską poznałaś w tej chwili, to Gabalos z Antjochji. Jak widzisz, znoszę jego kpiny.

Gabal. Albowiem i Herod Wielki błazna sobie trzymał.

Herodjada. Ale czasami, powiadają, brał sobie i drugiego, mianowicie zanim pierwszego kazał utopić.

Gabal kłania się z uśmiechem, potem z grymasem zwraca się na bok.

Herod. A to Merokles, retor. Głos ma dalekonośny. Słyszą go w Rzymie, jeżeli mego nie dosłyszą.

Merokles. Atoli dopóty nie sprawi on mi radości, dopóki nie będzie mi wolno ciebie, pani, powitać okrzykiem: Cześć ci, królowo!

Herodjada drgnąwszy, uśmiecha się, potem zamle-
nia spojrzenie z Herodem.

Merokles przystępując do Gabala, po cichu. Dobrześ ugodził, ale ja lepiej.

Herod. A oto jako przeciwieństwo chłodnego marzyciela tego: Jabad, światło moje, sumienie moje, skoro wstąpię na ziemię judejską. Gdyż, na Bacha! wie on każdej chwili, co czynić mi

wypada, ażebym był pobożny według obyczaju pobożnego ludu mego.

Gabal po cichu Udaje, jak gdyby zapomniał.

Merokles po cichu. Mniema, że w ten sposób stanie się podobniejszym do ojca.

Herod. Cóż, aby wybrać przykład, nakazuje mi obecna chwila święta?

Jabad. Słońce się ma ku zachodowi, o panie. Wielkanocne jagnię twoje, roczne i bez skazy, zarznięto w świątyni. Leży w dziedzińcu, aby je pobłogosławiono. Ty jako pan i ojciec tego domu —

Herod. Sam to mam uczynić?

Jabad. Wzniósł twój ojciec nie czynił tego i ściągnął gniew ludu na siebie.

Herod. Błogosławienie czystsze jest, niż zarzynanie. Tak, wy mądrzy Greczyni, w ten sposób służymy bogom, aby panować ludziom. A w końcu służymy daremnie. Daje im znak, aby odeszli. Do Jabada. Przygotuj wszystko. Pospieszę za tobą.

Gabal, Merokl, Jabad odchodzą.

SCENA PIĄTA.

Herod. Herodjada. Później *Salome* z *Maechą* na ganku.

Herod i Herodjada stoją chwilę, milcząc, naprzeciw siebie.

Herodjada. Zadowolonyś?

Herod. Dobroć twoja przygniata mnie. Ważniejszym dla mnie, czy ty nią jesteś.

Herodjada czując jego szyderstwo. Przez trzy noce dachu nie miałam nad głową. Jak włączęga wałęsałam się, kurzem okryta, w tumanach dęgi. Opuściły mnie służebnice. Jedna Salome nie opuściła mnie. Jej wydarłam ojca. Ojcu wydarłam dziecko. Com wydarła małżonkowi, ty sam to lepiej ocenisz, aniżeli mnie to przystoi. Widzisz, tylem uczyniła dla ciebie.

Herod. Wypędziłem żonę, która mi również mówiła o miłości. Uciekła do ojca swego. — A ten się zbroi na wojnę, ażeby pomścić hańbę swego dziecka, mnie zaśię brak drobnostki: wojska. W Rzymie głożą mi niełaską, brat mój przeklina mnie, Judoja palcami wskazuje na mnie... Widzisz, tak mało uczyniłem dla ciebie.

Herodjada. I tego mało tak ci żał?

Herod. Nie. — Wybacz, jeśli cię zganię, żeś przyszła zawczasie.

Herodjada. Nigdy gorętszego nie słyszano powitania, niż to „zawczasie.“

Herod. Nie wykładaj sobie złe słów moich, proszę cię oto.

Herodjada. Że tęsknota mnie gnała, o tem mówić się nie ważę.

Herod z uśmiechem zwycięzcy. Mów, owszem — mów.

Herodjada. Bo czy nie zapomniałeś dni — głósnych spojrzeń i milczących przysięg — gdy każdy oddech pożądaniem był a każdy wyraz nieugaszonem pragnieniem?

Herod. Jakżeż miałbym zapomnieć, droga, jakżeż miałbym zapomnieć?

Herodjada. A przecie już nie pomnisz tych nocy, gdy błędne kroki szukały drogi do woniących ogrodów, gdy z gorączką wielkiego zakwitów dwoje czuwających mieszało swoją tęsknicę?

Herod. Jakżeż miałbym niepomnąć, droga, jakżeż miałbym niepomnąć!

Herodjada. Przystroiłam się w szaty indyjskie, kwiatem granatu obsypałam szyję, a włosy pyłem złocistym, ale ty tego nie widzisz... Mowa moja jest jako mowa oblubienicy, ale ty jej nie słyszysz.

Salome zjawia się z Maechą, na ganku. Herod ją spostrzega.

Salome. Poczekaj, zobaczę, ażali już przyszedł. Spogląda na dół, a gdy wzrok jej spotkał się z wzrokiem Heroda, znikła.

Herodjada zauważywszy jego roztargnienie, z krzykiem. Zaprawdę! Ty jej nie słyszysz!

Herod prędko oprzytomniałszy. Jakto? Tego, co dobroć twoja oblubieńczem nazywa w duszach naszych, do syta nasłuchały się owe ogrody. Teraz niech to zamilknie. Dziś, zdaje mi się, co innego mamy do czynienia.

Herodjada. Mniemasz, że byłam leniwą?... Uważasz mnie za jedną z tych, która przychodzi wyżebrywać sobie codzienną wieczorną ofiarę pieśczoć? Spojrz na mnie! To nie kochanka twoja! Tej już nie ma! Spojrz na panią, twoją!

Herod. Patrzę — i widzę kobietę, która szaleje.

Herodjada. Jak żądza sławy jest władczynią twoją, jak ten twój własny uśmiech, który zawsze masz w pogotowiu, jak tajemna złość cię pożera —

Herod przerażony. Któż ci to powiedział — skąd ---

Herodjada. Tak ja ciebie znam w całej prawdzie nagiej. W tej chwili, kiedyś mówił, że szaleję, myślałeś nad tem, jakby mnie jak najprędzej wypędzić. Ty błaznie!... Wypędzaj tak czuwanie swoich nocy i wszystko to, co zowiesz własnością swoją, coś odziedziczył po owym większym, któremu nigdy nie dorównasz.

Herod. Kobieto — jak — dławi się własnymi słowami.

Herodjada z uśmiechem. Wypowiedz. Bo jeśli nie potrzebujesz mnie do miłości, może potrzebujesz mnie, abym ci się przysłuchiwała.

Herod przeszedłszy się kilkakrotnie w wielkim wzburzeniu. Któremu nigdy nie dorównam? Kim jest człowiek, który w gniewie słodko się uśmiecha?... Tchórzem?... Kim jest człowiek, wykrzywiający twarz na dwie strony?... Przeniewiercą?... Kim jest człowiek, który połyka ślinę z ust panującego?... Służalcem?... Nie... Albowiem tak postępował i On... Ale gdy krew rozsadzała mu żyły na skroniach, wówczas miecz wyciągał z pochew i siekał na kawały — przyjaciela czy wroga, wszystko jedno, kto mu zaszedł drogę. — Aż krew jego ofiar nie zmyła mu czoła do bledości.

Aż wszechmocnego w Rzymie dreszcze przejmowały na taką moc... I mnie krew bije do skroni... i ja chcę... ale ja nie posiadam — miecza. I dla tego słodko uśmiechać się będę i nadal — będę dalej twarz na obie wykrzywił strony i połykał ślinę kapłanów — jako syn Heroda — i małpujący go...

Herodjada. A gdyby kapłani świątyni stanęli przy tobie jako wał i obrona przeciw rozżartemu ludowi, czy mniej wątpił byś o sobie?

Herod. O sobie nie wątpię. A to, o czym mówisz, nigdy stać się nie może.

Herodjada podchodzi do drzwi środkowych i otwiera je. Wchodził odzwierna. Co mi donosisz?

Odzwierna. Pani, dwaj wystąńcy świątyni z nową od arcykapłana przybyli wieścią.

Herodjada. Wprowadź ich do sali... niech tam poczekają. Odzwierna wychodzi.

Herod z śmiechem złości i przerażenia. Ażali już w drodze trąbią na gwałt ich surmy? Ażali grzmi już u drzwi wielka ich klątwa?

Herodjada. Mylisz się, przyjacielu. Małe błogosławieństwo drapie po drzwiach. Jeśli ci się podoba, wpuść je.

Herod. Śniesz!

Herodjada. Posłuchaj. Dla czego z zbytnim pospiechem weszłam przed tobą w ten pusty dom? Od chwili mego przybycia czynię układy z kapłanami...

Herod. Ty?

Herodjada. Cóż, gdybyś grzesznicy nie chował przed ludem, lecz jutro z podniesioną głową wprowadził ją do świątyni? Nie zabawnaż byłaby to krotochwila, gdyby arcykapłan z tą samą miną ojcowskiego służalca, z jaką ongi witał cnotliwą Mariamnę, przyjmował także, uśmiechnięty, zbiegłą żonę twego brata?

Herod. Cóżżeś mu za to sprzedała?

Herodjada. Darowuje się to, co się daje.

Herod. Uwierzy ci ten, kto ich nie zna — tych wielkich rzezaków od ołtarza.

Herodjada. Owszem. Po cichu. Mamy przyrzec i zaręczyć, że nigdy w Rzymie nie będziemy starali się o Judeję ni królestwo, szydęro wówczas może i rozważą.

Herod. A cóżeś odpowiedziała na tę czelną — na taką —

Herodjada. Przyrzekłam. — Jakżeż inaczej...? Za siebie... A także i za ciebie...

Herod wskazując na siebie. Zdobycz ta nie stała się jeszcze twoją! A już ją zdradziłaś?

Herodjada. Zdawało mi się przecież, jak gdybym w tej chwili słyszała cię krzyczącego o miecz... z usmiechem. Zostawszy królem, będziesz mógł zabijać wszystkich, którym przyrzekłeś, że nim nie zostaniesz.

Herod patrząc na nią z ośłupieniem. Kobieto!

Herodjada. Czy wciąż jeszcze zdaje ci się, że opuściłam dom swój dla pocałunku?

Herod. Strach mnie przejmuje na twój widok!... Ale jeżeliś nawet pod jarzmo swoje nagięła kapłanów, stutysięcznogłowego ludu ty nie znasz. Własnemu królowi rzucili kiedyś ofiary w twarz, syna Barachji zamordowali pomiędzy świątynią a ołtarzem. A czy nie wiesz, że Chrzciciel w mieście?

Herodjada. Chrzciciel! Pozwól mi się z nim załatwić, z tym twoim Chrzcicielem!

Herod. Do niego zbliżaj się tylko z mieczem kata w ręku, to-ć radzę.

Herodjada śmieje się.

SCENA SZÓSTA.

Tamci. Jabad i kilku sług.

Jabad. Przebacz, panie, jagnię gotowe.

Herod. Nasamprzód wysłuchamy waszych kapłanów, jeżeli tak się waszej, jeżeli tak się — naszej podoba władczyni.

Herodjada potakuje z uśmiechem.

Wszyscy wychodzą.

SCENA SIÓDMA.

Jan. Mirjam dolnemi drzwiami na prawo.

Mirjam. Racz tutaj na nią poczekać, rabbi. Co rozkażesz twojej służebnicy?

Jan potrząsa głową.

Mirjam całuje mu szatę. Odchodzi do góry na prawo.

SCENA ÓSMA.

Jan pozostaje chwilę sam. Potem Salome. Za nią Maecha, Abi i dwie inne dziewice.

Salome podchodzi po cichu, aż do poręczy ganku, spogląda na Jana, szuka u piersi swej kwiatu i nie znalazłszy nic, wraca się napowrót do Maechy. Daj, co masz za pasem. Bierze róże, które jej podaje Maecha i rzuca je na dół. Nie widział ich... Przynieście więcej kwiatów i harfy nasze przynieście... Maecha zostanie. — Inaczej bym się lękała. Dziewczęta wychodzą, prócz Maechy. Ty dziki z pustyni Judy, ten pełen niewiści grom twego oka nie pożre mnie; inny rozpalę w niem ogień, słodki i hoży, jak sny moje, gdy słodycz narcyzów wonieje nocą w głowach moich. Dziewczęta wracają. Dajcie... róże — dwa naręcza!... Chowa głowę w kwiaty. Chciałabym jeszcze mieć narcyzy. Nie, zostańcie i śpiewajcie pieśń, której nauczyłam was wczoraj, pieśń, którą śpiewają tancerki w Antjochji... Tylko po cichu, aby się nas nie przestraszył... Gdzie Mirjam?

Abi. Nie chciała.

Salome przez zęby. Nie chciała!... Zobaczył różę... Podnosi ją — jak coś, czego nigdy — Masz ich więcej — więcej — więcej — wysypuje róże na niego.

Śpiew dziewczyn króry następnie rozplywa się i ginie przy muzyce harf.

Sezamek i miodem przyjęłam cię szczerze,
Woń moim trzewikom sandału dał krzew,

Dla ciebie na łądźwiach zluźniłam obiodrze,
Dla ciebie przy harfie rozbrzmiewa mój śpiew.

O pójdź! Ochłódźmy tę chuć,
Która pożera mnie!... O pójdź!...

Inaczej nauczę cię czuć,
Jak ma nienawiść żre... O pójdź!...

Jan spojrzął, zdumiony, do góry. Deszcz kwiatów uderza go w twarz, i on się cofa. Któż to czyni sobie igraszkę ze mnie?

Salome powoli zesza ze schodów. Mistrzu, ja!

Jan. Kim ty jesteś?

Salome z zapartą pieszczotliwością. Jam jest różą przy dolinach i kwieciem sarońskim.

Jan. Igraj z równymi tobie... Mnie zostaw w spokoju... Albo idź i przywołaj tej, która mnie przywołała...

Salome. Matki?

Jan. Tyś Salome, tej...

Salome. Rzekłeś.

Jan. Pozwól mi spojrzeć w twe oczy, dziewico.

Salome. Patrz, mistrzu...

Jan. Dziewico, znaszli potworność tego domu? Czyż winną stała się dusza twoja wraz z winnymi?

Salome. Mistrzu, spojrz na mnie jeszcze raz. Nie młodam-ci ja pomiędzy córkami izraelskimi? A młodość, słyszałam, nie zna winy ni winnych. Patrz, trzymali mnie w zamknięciu komnat, a ja-ć namacałam rygle i skradłam się tutaj, albowiem było mi wiadomem, że ty tu jesteś, mistrzu.

Jan. Jakżeż mam ja powiedzieć do nawałnicy: przejdź nad nią! — a do powodzi: nie poskłoń jej?

Salome. Mistrzu, mów, chociaż-ci ja nie rozumiem, co mówisz. A wiesz ty, że teraz grzeszymy według przykazania żydowskiego? My oboje — o tak! Towarzyszki moje odeszły, a nie jest li zakazanem mężowi żydowskiemu, samowtór być z dziewicą?

Jan. Nie jestem samowtór z tobą. Poza plecami twemi stoją cienie tych, którzy cię przywlekli w gniazdo swych uciech.

Salome. Ja-ć, mistrzu, własne mam uciechy. Co mnie obchodzą uciechy innych? Czytałam kiedyś przypowieść, że ukryte wody słodkie są, a nianka opowiadała mi, że skarb nietknięty świeci tylko nieszukającemu... Nie prawda, mnie nie szukałeś?

Jan. Mowa twoja zawiła jest.

Salome. Niech będzie! Nie łaj! Pomyśl, że i nasze sny zawiłe są. Gdym uciekała dotąd z matką, przyszłyśmy nocą na pole, zasiane makiem... A rosa błyszczała na kwieciach. A one wydawały się szaremi i wszystkie były zamknięte, albowiem noc była... Ale teraz szeroko otwarte są, — i, zdaje mi się, lica moje rumienia się w odblasku ich.

Jan. Wdzięczna jesteś między córkami jerozolimskimi... płakać będą za tobą.

Salome. Dla czego płakać będą? Mam-li pójść

na ołtarz ofiarny? Mistrzu, ja nie! Ty mnie chroń! Słyszałam, mistrzu, o królu, który zawarł przymierze z słońcem. Ty także?

Jan potakuje.

Salome. Przeto zawrę przymierze z tobą. Mam-li ja być słońcem, a ty królem moim? Albo ty wolisz być słońcem a ja będę twoją królową?

Jan. Dziewico! nie mogę ja być słońcem ani ty królem. Ty zasię przepasz lędźwie swoje i szarą siatkę zarzucić na głowę swoją i odwrócić się odemnie... Spiesz, odejdz! Albowiem postany jestem jako gniew na ciebie i klątwa, aby cię zniweczyć:

Salome. A co ma człowiekowi uczynić gniew tej, dla której on weselom jest i dniem świętym? A choćbyś wyszedł naprzeciw mnie w płomieniach, nie opłakiwałabym młodości mej ani przez dwa miesiące. Wyciągnę ramiona ku tobie i zawołam: Płomieniu, zniwecz mnie! Płomieniu, przyjmij mnie do siebie!...

Jan po chwili milczenia. Odejdz!

Salome. Odchodzę... Rzuca się wchodzącej Herodjadzie na piersi.

SCENA DZIEWIĄTA.

Tamci. Herodjada i jej niewiasty.

Salome. Wybacz, matko, i pozwól mi być przy tobie.

Herodjada. Hejże ty, co tak wyniośle patrzysz na mnie, czy to ty lud podżegasz przeciwko mnie?

Jan. Jam jest ten, którego przywołałaś.

Horadjada siadając na krześle. Przystąp do mnie.

Jan Odeszlij niewiasty swoje i dziecko to, ażeby nie spaliła się dusza jego, zanim jeszcze dojrzała.

Herodjada. Niech wyjdą niewiasty. Niewiasty odchodzą. Atoli dziecko to jest towarzyszką losów moich. Co ja powiem tobie, wolno wysłuchać i jej.

Jan. Lecz co ja ci powiem, przed tem ją strzeż.

Herodjada. Uważałeś, proroku? Przed tamtymi drzwiami zbrojni stoją parami. Pamiętaj o niebezpieczeństwie, abyś nie ujrzał śmierci.

Jan. Życiu służę, a niebezpieczeństwo nigdy nie stało na mojej drodze.

Herodjada. Szanuję twą wiarę, proroku, i dla tego przemawiać będę do ciebie jak przyjaciółka... Przed wielkością chętnie wielkość ugina kolana — i dla tego ja się uginam przed tobą.

Salome która siedziała u jej nóg, chwytając ją, rozpromieniona za szyję.

Herodjada. Za to, że łajesz mnie na rynku jerozolimskim, waśnić się z tobą nie będę, albowiem nie znasz mnie... Atoli nie podobało mi się, że przeżuwasz listki piołunu, któremi stado żydowskie rozgorycza się przeciw mnie. Miałam cię za dumniejszego — a osamotnienie twoje za bogatsze.

Jan. Nie przyszedłem ani dla pochwały ani dla nagany twojej. Mam jedno dla ciebie pytanie: Czy jutro, jako w pierwszym dniu paschy, wejdiesz do świątyni przy boku tetrarchy?

Herodjada z wysiłkiem poskramiając szyderstwo. Widzę, wielki proroku, że gniew twój na łańcuchu i potrząsa nim. Zanim go puścisz, pozwól i mnie na pytanie, bo oto staram się zbliżyć ku tobie i radabym cię zjednać dla siebie. Popatrz na mnie: Nie nęci cię śnieżność marmuru i złoci-
stość złota?

Jan milczy.

Herodjada. Albo — czyś nigdy nie marzył o potędze i zbytku wspaniałym i o królestwach tego świata?

Jan milczy.

Herodjada. Albo — wskazując na Salome, siedzącą znowu u jej stóp nie zadrżało-li serce twoje na tę słodką młodość odsłoniętą?

Jan po powtórnem milczeniu. Chcesz mnie przekupić? — A znasz-li też cenę swoją? Półtora homera jęczmienia to zbyt droga za ciebie zapłata... albowiem — imię twoje nałożnica, a na czole twojem napisano: wiarołomna.

Herodjada zrywając się. Ty! ty!

Salome padając jej w ramiona. Matko!

Herodjada opanowując się, zimno, szyderczo. Powinam cię kazać zamknąć, ale mam krótkowilę z tobą. A jeżeli nie zupełnie pijanyś z dowcipu

swego, to posłuchaj jeszcze jednego: kto przywłaszcza sobie prawo być sędzią nad ludźmi, winien brać udział w czynach ich i człowiekiem być pomiędzy ludźmi.

Jan zdumiony. Coś — ty — powiedziała?

Herodjada. Ale ty tak daleko stoisz od ludzi, że nawet bicie serca ludzkiego wydaje ci się niedorzecznością. Zapewne wicher płomienny w pustyni twej nauczył cię nienawiści — cóż ty wiesz o tych, którzy żyją i umierać chcą dla miłości swojej?

Jan. I ty mówisz o miłości — ty?

Herodjada. Widzisz, śmieję się z ciebie — ty wielki proroku! Śmieje się.

Salome. Matko! popatrz na niego — milcz!

Jan. Kieruj jad swój przeciwko mnie, a dobrze go skierowałaś. Ale — wskazując na okno spojrz na ten lud pański — szczerzy zęby przeciwko tobie, albowiem odebrałaś mu gorzki chleb jego i wysypałaś mu jego ubogi positek. Mówisz, że nie znam go... Ale ja znam jego tęsknicę, albowiem ja mu ją stworzyłem. I wobec tęsknicy tej stoję z życiem swoim i wołam na ciebie: Biada ci, jeżelibyś mu ją skalała! — Otrzebiasz siłę mężów i odsłaniasz wstyd dziewic. Siejesz szyderstwo, gdzie ja chciałem sprzątać wiarę... A jeśli znamienitych i potężnych naginasz, aby-c służyli za podnózek chuci twojej, ja biednych i niskich pozwę na drogę twoją, aby zmiażdżyli

cię podeszwami swemi. Biada tobie i biada temu, kto na łożu twojem płodzi wszeteczeństwo z tobą!... biada i temu ciału młodemu, które się wije pod biczem krwi twojej! Biada! biada!

Herodjada podskoczywszy, ku drzwiom na prawo. Straż niech go — straż —! otwiera gwałtownie drzwi.

SCENA DZIESIĄTA.

Tamci. Dwaj ze straży.

Herodjada. Wyprowadźcie tego człowieka — urywa, uderzona wzrokiem Jana.

Jan z uśmiechem. Bacz tylko, co mi czynisz!

Herodjada. Wyprowadźcie tego człowieka — precz — na ulicę... pada na krzesło.

Salome. Zjawiłeś się w płomieniach!

Jan kroczy ku drzwiom.

Zasłona spada.

Akt trzeci.

Izba w domu Jozafata. W głębi drzwi, prowadzące na ulicę, obok nich okna zakratowane. Po lewej stronie drzwi do innej izby, po prawej stronie również drzwi. Na przedzie po lewej narzędzia szewskie. Ku środkowi stół i kilka niskich stołeczków. Po prawej posłanie, przed niem stołek i mały stół. Wszystko ubogo, ale nie pusto. — Oświetlenie domu glinianymi lampkami.

SCENA PIERWSZA.

Jael z dzieckiem u piersi. Dwoje innych dzieci obok niej. Kilka kobiet stoi na lewo i nadśluchuje u drzwi, przez które przeciska się stłumiony śpiew psalmów na głosy męskie.

Chłopiec. Co oni teraz śpiewają, matko?

Jael blada, zbiedzona. Śpiewają wielkie hallel, dziecko moje.

Chłopiec. Czy i prorok śpiewa z nimi, matko?

Jael. Nie mogę tego słyszeć, dziecko.

Dwie inne kobiety wchodzą środkowymi drzwiami.

Pierwsza. Jael, słyszałyśmy, że w domu twoim wielki prorok spożywa paschę. Pozwolisz, abyśmy go wjrzały?

Jael. Wejdźże.

Jedna z kobiet obecnych przed tem. Ostatni tam, po lewej stronie — to on.

Pierwsza. Ten, co tak siedzi ponuro?

Druga. Ja bym się go bała. Śpiew tymczasem umilkł.

Pierwsza. Powiadają, że przyszedł do miasta aby sądzić Heroda. Czy tak, Jael?

Jael. Nie wiem.

Chłopiec. Matko, patrz, teraz piją czwarty kubek. Zaraz przyjdą.

Pierwsza. Czy — on wypowiedział błogosławieństwo nad czwartym kubkiem?

Druga. Nie, Jozafat.

Pierwsza. A dla czego nie on, Jael?

Jael nie odpowiada.

Pierwsza. Patrzenie, wstają.

Inna. Idą tutaj, Jael?

Jael. Oto posłanie, na którym ma spocząć.

Kilka. W takim razie żegnaj, Jael.

Jael. Żegnajcie. Wybiegają.

SCENA DRUGA.

Jael z dziećmi. Jan. Jozafat. Amarja.

Jozafat. Tutaj sam jesteś, rabbi. Inni pozostali na dworze.

Jan. Przyjmij podziękowanie, Jozafacie.

Amarja. I odemnie, Jozafacie.

Jozafat. Jemu podziękuj, Amarja, że spożywał z nami. Podczas gdy Jan siada, po elchu do Amarji. Chodź! Spozstrzega Jael, która niepostrzeżona stanęła przy drzwiach. Jael, jesteś tu z dziećmi?

Jan. Czy to twoja żona, Jozafacie?

Jozafat. Tak, rabbi.

Jan. I twoje dzieci?

Jozafat. Tak, rabbi.

Jan. Nigdyś mi nie mówił, że... Na imię ci Jael — tak cię nazwał?

Jael. Tak, rabbi.

Jan. Dla czego się nie przybliżysz?

Chłopiec. Boimy się ciebie, rabbi.

Jan z uśmiechem. Dla czego boicie się?

Chłopiec. Nie wiem.

Jozafat. Przebacz mu, rabbi, widzisz, on —

Jan. Jozafacie, powierzysz mi swoich na chwilę?

Jozafat kłania się, daje znak Amarji i odchodzi z nimi na prawo.

SCENA TRZECIA.

Jan. Jael. Dzieci.

Jan. Smutnie patrzy oko twoje, Jael. Masz-li troskę w sercu?

Jael. Uklęknij, Baruchu, synu mój, klękajcie obaj.

Chłopiec płacząco. Matko.

Jan. Cóż to ma być, Jael?

Jael. Mówcie: proszę, rabbi!

Dzieci. Proszę, rabbi!

Jael. I to małeństwo prosi, jakkolwiek jeszcze prosić nie umie —

Jan. O co?

Jael. Abyś im wrócił ojca, bo, patrzaj, nie mają chleba.

Jan podnosi dzieci. W tej chwili spożywaliśmy jagnię w domu twoim, a ty mówisz, że nie mamy chleba?

Jael. Nie o dniu dzisiejszym mówię, dzisiaj ma i najuboższy. Patrzaj, rabbi! zaprawdę wielkim jesteś prorokiem i wiele dałeś ludowi, ale mnie wzięłeś — mnie i dziecinom tym — nam wzięłeś wszystko, co posiadamy.

Jan. Jakżeż to być może, Jael?

Jael. Patrz! Od dawna mąż mój wychodzi do ciebie na pustynię, a wówczas narzędzie to spoczywa i nam głód dokucza. Ale chętnie znosilibyśmy głód i umarli z głodu za niego, gdybyś nie odwrócił był od nas i jego serca i nie zabrał jego miłości.

Jan. Ażali i ty jesteś jedną z tych, które mówią: Ponad przykazaniem i ofiarą jest miłość?

Jael bojaźliwie. Nie mówiłam tego, rabbi. — Chcesz mnie w nieszczęście wtrącić wobec kapłanów?

Jan. Ale tak myślisz w sercu swoim

Jael. Rabbi!

Jan. Gdybyście przyszli do mnie, do puszczy mojej, wskazał bym wam tego, który ma przynieść pożywienie głód cierpiącym. Tutaj ubogi jestem. Idźcie, nie mam nic z wami do czynienia.

Jael odchodzi z dziećmi ku drzwom.

Jan daje jej znak, aby się wróciła.

Jael. Rabbi?

Jan potrząsa głową.

Jael odchodzi z dziećmi.

SCENA CZWARTA.

Jan. Jozafat. Amarja.

Jan. Jozafacie! jak dawno ja ciebie znam?

Jozafat. Lat temu dwa, kiedym do chrztu przyszedł do ciebie.

Jan. I od tego czasu przybywałeś często?

Jozafat. Kiedyż nie byłem u ciebie, rabbi?

Jan. Nigdy nie wiedział, że jesteś naprawiaczem obuwia i że — dzieci twoje wołają chleba. Zdaje mi się, że przecież ja cię nie znam, Jozafacie.

Jozafat. To, co we mnie najlepszego, to znasz. Ty mi to dałeś.

Jan. A więc znam tylko siebie. I nie wiem także nic o tobie, Amarja. — Wiem tylko jedno wzrok utkwivszy w pustkę. Posłany jestem — — — urywa.

Jozafat. Rabbi!

Jan. Mianowicie mówiła jedna do mnie, że nie znam was... Jedna z tych, które „miłość“ na uściech mają... I sądzę niemal... A jednak, choćbym was i znał, nie kochałbym was, lecz sądził w imieniu tego — w czyjem imieniu? Nie wiecie?

Jozafat. W imieniu tego, który ma przyjść, tak nas uczyłeś, mistrzu!

Amarja po cichu. Ma się ku godzinie drugiej. Nie pomówisz z nim o Herodzie?

Jan gdy się doń zbliża *Jozafat*. Wystąpiłem najmłodszego z was, aby poszukał Galilejczyka. Gdzież on?

Jozafat. Jeszcze nie wrócił, mistrzu.

Jan. Pragnę Galilejczyka... Przeprowadźcie mi Galilejczyka... Patrzcie! w królu moim spoczywa siła moja. A choć mu służę jako niegodne naczynie — służę mu według swojej miary... Dałem świadectwo o nim — nie prawda? Uczyniłem to?

Jozafat. Zaprawdę, uczyniłeś to, rabbi.

Jan. Ale i świadectwo to rosło w mojej duszy. Gdy przyjdzie, czy podda mu się?

Jozafat. Uczyni to, mistrzu, gdyż Bóg go przysyła.

Jan. Albo też dusza moja nie poznała go, tak jak jam was nie poznał.

SCENA PIĄTA.

Tamci. *Maciej*.

Jan. *Macieju!* — nie widziałeś *Manassego*?

Maciej. Nie, — rabbi, przyszedłem do ciebie w nocy z powodu *Heroda*.

Jan. Z powodu *Heroda*. Siada odwrócony.

Maciej. Posyłałem na zwiady do pałacu aż do czasu wieczery paschalnej. Kapłani wchodzili i wychodzili. O co się układali, nikt nie wie.

Jeżeli przyjdzie na śniadanie poranną około godziny ósmej, jak zwykle to czynić w dniu uroczyste — jeżeli przyjdzie z niewiastą — jeżeli w ten sposób plunie grzechem swoim w twarz ludu, rabbi, powiedz, co się stanie?

Jan nie odpowiada.

Amarja. Nie słyszy cię.

Jozafat. Myśli o Galilejczyku.

Jan. Słyszałem, że jeden z was mówił o grzechu. — Wiecież, w jakie przeważnie szaty grzech się naodziewa, wychodząc pomiędzy ludzi? mówcie: w pychę — mówcie: w nienawiść, mówcie, co chcecie, a ja śmiać się z was będę. Słuchajcie i zachowajcie to sobie? Najchętniej stroi się w miłość. Wszystko, co małe jest i kurczy się w pokorze, ponieważ małym jest, co rzuca okruchy chleba z stołu swego, aby nie rzucać bochenkami, co zakrywa groby, aby cuchnęły potajemnie, wszystko to nazywają miłością. I nazywają miłością i to, gdy na wiosnę osły porykują i łanie bekają się, gdy kobieta sama znosi kamienie wieczorem, któremi lud ją ukamieniuje nad ranem, aby na nich jeszcze wszeteczeństwo płodziła: a kobieta mówi wówczas: miły, jak słodkiem jest nasze posłanie! — nazywają to miłością!...

Maciej zamieniwszy wzrok z Jozafatem. Rabbi! przebacz! Lud czeka na ciebie... Ilu ich wije się na łożach swoich, oczekując poranku, wszyscy o jednym tylko myślą: sąd — sąd na Heroda.

Jan. Sąd na Heroda — owszem.

Jozafat. I ty masz go sądzić. Nikt inny, prócz ciebie.

Jan. Będę go sądził.

Maciej. Jego i niewiastę jego?

Jan. Jego i niewiastę jego. Wątpicie?

Maciej. Jeżeliśmy wątpili, przebacz.

Jan nadśłuchując ku drzwiom. Cicho!... to Manasse!

SCENA SZÓSTA.

Tamci. Mirjam.

Jan. Mirjam, ty? Czego żądasz?

Mirjam bez tchu. Uciekłam z pałacu... Straż mnie gonila. Może, — będzie ci to z pożytkiem — co wiem.

Jan. Mów do tamtych... Im możesz być z pożytkiem.

Jozafat. Mów, Mirjam.

Mirjam. Jeżeli mistrz mnie nie słucha. Wy mnie nic nie obchodzicie.

Jan. Słucham cię. Mirjam.

Mirjam. W tej chwili wydano służbie rozkaz, ażeby wszystko przygotowała do pochodu — jeszcze podczas nocy, ażeby pochód stanął przed świątynią, zanim tłum się wielki zbierze. W ten sposób chcą uniknąć gniewu ludu i twego, mistrzu.

Uczniowie. To się nie stanie!... Zaprawdę!... to się nie stanie!

Jozafat. Dowiedziałaś się, Mirjam, któremi z brani zewnętrznych mają wkroczyć do świątyni?

Mirjam. Służba mówiła o bramie Suzan, kiedy się koło nich przekradała.

Jozafat. A będą z nimi żołnierze rzymscy?

Mirjam. O tem się nie dowiedziałam.

Jozafat. Mistrzu, co radzisz?

Jan. Radzę wam ponownie, idźcie na ulicę, wywiadujcie się po prawicy — i szukajcie po lewicy. Od owego Galilejczyka dowiem się, co radzić wam.

Maciej. Rozumiesz go?

Jozafat. Byłoby mi lepiej, gdybym go nie rozumiał. *Jozafat, Maciej, Amarja odchodzą.*

SCENA SIÓDMA.

Jan, Mirjam.

Mirjam przycisnęła się obok drzwi do ściany i trwoźnie spogląda na Jana, który, odwróciwszy się, pogrążył się w zadumie.

Jan spostrzegłszy ją. *Mirjam, ty jeszcze tutaj?*

Mirjam. Przebacz, mistrzu! Trochę-m się lekkała. Bo jeżeli teraz wrócę, straż schwyci mnie u bramy.

Jan. Jakto? Czyż ubiegłej nocy nie przyszedł do mnie na puszcze?

Mirjam. Wówczas nikt jeszcze nie wiedział, z kim mam wspólność, mistrzu.

Jan. Kim jesteś? Mów mi o sobie. Kim jest twój ojciec?

Mirjam. Nie mam ojca — i matki nie mam. Kraj pełen jest sierót, jak ja. Za wiele ich jest. Dla tegom też nigdy nie pytała.

Jan. A dla czego poszła na służebnicę do pałacu?

Mirjam. Mówią, że onego czasu siedziałam na progu i bawiłam się małymi kamyczkami. A gdy nadszedł wieczór, żal im się zrobiło mnie i wciągnęli mnie. Od tej chwili należę do pałacu i nie wiem nic więcej.

Jan. Pilnie mi służysz, *Mirjam*. Dla czego mi służysz?

Mirjam. Nie wiem...

Jan. I służysz mi bez pożytku. Wiesz o tem?

Mirjam potakuje.

Jan. A nie ukarzą cię?

Mirjam z dreszczem trwogi. Oni mnie —

Jan. Mów!

Mirjam. Panie, cóż z tego?

Jan. Służysz-li temu, który ma przyjść?

Mirjam. Panie! Któż to wie? Jeśli ciebie nie widzę, tęsknię ku niemu — a gdy mówię o nim, widzę tylko ciebie.

Jan. Wy, ludzie — szum jest w duszach waszych, jak od wielkiej wody — jasnej i spochmurniałej... ja mam ich wszystkich ku wielkiej gromadzić rzece, a mnie się zdaje, jakobym pił z tej rzeki.

Mirjam. Mistrzu, odchodzę. Jakkolwiek służyłam ci bez pożytku, okaż mi łaskę, pochwal mnie.

Jan. Widzę cię siedzącą na progu, jak wówczas, i igrającą — z swem życiem. I żal mi ciebie. Ale wciągnąć cię nie mogę. Idź, dziewczeczko — idź, i — nadśłuchuje.

Mirjam. Mistrzu?

SCENA ÓSMA.

Tamci, Jozafat, Maciej, Amarja, Manasse.

Jan naprzeciw niemu. Gdzie Galilejczyk?

Manasse. Szukałem go, mistrzu, od chwili, kiedyś mnie wystął, aż do północy, Nie spoczywałem i pokarm nie wszedł do ust moich.

Jan. Galilejczyk! — Znalazłeś go?

Manasse. Znalazłem. Obok żołnierzy spoczywał wyciągnięty na kamieniach, a obok w łańcuchach jego morderca.

Amarja. Kto — w święty wieczór paschy—?

Manasse. Nazywali go Dawidem zelotą. Galilejczyk bluźnił Bogu, tak mówił, i dla tego winien był śmierci.

Jozafat. Bluźnił Bogu — to prawda.

Jan. Ale-ć ja powiadkam wam: dlań nie było to bluźnierstwem, lecz oddaniem pokłonu. Zdaje mi się, że takich ludzi przybyło więcej z Galileji. Albowiem tam — burza jest... Słuchaj, Jozafacie, czy nocą nie sypia więcej pielgrzymów na kamieniach u bram świątyni?

Jozafat. Tak, rabbi. W nocie gwiazdziste, jak

dzisiejsza, niejeden owija się w płaszcz i pozostaje obok domu Pańskiego.

Jan z nagłym postanowieniem. Dobrze! Odchodził.

SCENA DZIEWIĄTA.

Tamci bez Jana.

Maciej. Rabbi!...

Amarja. Czy by nas miał opuścić?

Jozafat. Nie troszczcie się. Ty, Amarja, obudź przyjaciół. Ty, Manasse, przynieś nam wieści z pałacu. My zaś obaj pójdziemy za mistrzem. U bramy Suzan, tam gdzie siedzi ta stara żebraczka — tam spotkacie nas. Chodźmy!

Mężczyźni odchodzą.

Mirjam która stała niepostrzeżona, idzie z głową spuszczoną za nimi.

Z M I A N A.

Kamienisty plac przed wschodnią bramą świątyni, nazwaną Suzan. Przednią scenę odcina mur zewnętrzny, w którego środku, zajmując przeszło połowę szerokości sceny, znajdują się potężne, wrotne bramy, do której prowadzą stopnie. Noc. Luna, bijąca z wielkiego ołtarza ofiarnego, widnieje z głębi ponad murami i przednią scenę napełnia czerwonym, migotliwym światłem.

SCENA DZIESIĄTA.

Pielgrzymi mężczyźni i kobiety, owinięci w płaszcze, leżą na stopniach, oraz na kamieniach, wypełniających stronę lewą. Pomiedzy tymi pierwszy i drugi Galilejczyk.

Z prawej na drodze, poprzez scenę prowadzącej pod mur świątynny, leży *Mezulemeth*. Po małej chwili *Jan* z lewej strony.

Jan rozglą,ła się, szukając, i staje przed jednym z pielgrzymów. *Pielgrzymie!* Zbudź się!

Pielgrzym. Nie świta jeszcze, dla czego mnie budzisz?

Jan. Skąd przybyłeś? Jesteś Galilejczykiem?

Pielgrzym. Z Gaza jestem — od morza. Daj mi spać.

Drugi Galilejczyk do pierwszego. Słuchaj, tam mówią o Galilejczykach.

Pierwszy Galilejczyk. Śpij, niech sobie mówią.

Jan idzie dalej i staje przed *Mezulemeth*. Ty, na drodze tutaj, kobietą jesteś czy mężem, słuchaj, zbudź się!

Mezulemeth wstając powoli. Dla czego nie przechodzisz przezemnie, jak wszyscy czynią w Jeruzalemie?

Jan. Czy zawsze leżysz tutaj na drodze?

Mezulemeth. Zawsze tu leżę. Przecież muszę być przy świątyni. Dzień i noc muszę być przy świątyni.

Jan. Tak łakniesz jałmużny?

Mezulemeth potrząsając głową. Czego mi potrzeba — tę drobnostkę dają mi pielgrzymi. Ale czy słyszałeś o Hannie prorokini?

Jan. Dzieckiem będąc, słyszałem o niej.

Mezulemeth. Otóż to jej miejsce. Tutaj prze-

siadywała lat czterdzieści, wyczekując messjasza. Umierając, sama to miejsce mi oddała — i oto siedzę teraz i czekam, aż wróci.

Jan. Wróci? Alboż on już był kiedy przyszedł?

Mezulemeth. Nie inaczej — przyszedł.

Jan w głębokim wzruszeniu. Przyszedł? Przyszedł i do ciebie?

Mezulemeth. Do mnie? Nie. Gdyby był przyszedł do mnie, ja dawno bym już spoczywała. Ale Hannah, ona go widziała, jak przyszedł.

Jan. Niewiasto, błagam ciebie... Mów, opowiadaj, jak przyszedł?

Mezulemeth. A więc siadaj przy mnie, abym mogła ci mówić po cichu. Pewnego razu matka przyniosła chłopię do świątyni, ażeby je obrzezano. I był tam człowiek nazwiskiem Symeon. On to, ujrawszy chłopię, napełniony był duchem świętym i rzekł: Panie, teraz w spokoju puść sługę do przybytku swego, albowiem oczy moje oglądały zbawiciela, któregoś ty zgotował wszystkim narodom. Słyszała to Hannah, ujrzała i poznała go od razu.

Jan. Jak go poznała?

Mezulemeth. Czyż nie powiedziałam ci, że była prorokinią. Inaczej byłaby go może nie poznała. Ale teraz chwaliła Pana, położyła się i zmarła. A teraz ja siedzę, gdzie ona siedziała, i czekam, aż wróci. Albowiem wrócić musi.

Jan. Zaprawdę! On musi wrócić! A chcesz li,

niewiasto, wiedzieć, jak on przyjdzie? Jako Król zastępów, w pancerzu złocistym i z mieczem podniesionym nad głowę — tak on przyjdzie, aby zbawić lud pański. Nieprzyjaciół swoich potratuje kopytami rumaków swoich, ale z weselem wielkiem witać go będą chłopięta Izraela. Oto, niewiasto, tak on przyjdzie!

Mezulemeth bojaźliwie. Kim jesteś, przybyszu? Czy może uważasz się za jednego z proroków?

Jan. Kimkolwiek jestem, byleby tylko wieść moja zastała cię przygotowaną.

Mezulemeth. Wieść swoją możesz ponieść dalej, ja-ć jej nie chcę.

Jan. Jakto? Messjasza nie chcesz?

Mezulemeth. Tego nie! Tego nie chcę! Albowiem w pancerzu złocistym tyłu już przyszło i tak często wyjmowali miecz z pochew swoich, że z Izraela krew się leje — jak z ofiarnego bydła. A on nie ma być królem. Nie. Jeżeli przychodzą króle, to przychodzą do królów. Do nas ubogich żaden jeszcze nie przyszedł... Odejdź, przybyszu, targnąłeś się na tę odrobinę nadziei mojej... Odejdź, fałszywym jesteś prorokiem... Odejdź, zostaw mnie tu na drodze. Kładź się napowrót.

Jan do siebie. Fałszywym jestem prorokiem!

SCENA JEDENASTA.

Tamci, Jozafat, Maciej z przodu na lowo.

Maciej. Widzisz go tam?

Jozafat. Rabbi, przebac, że szliśmy za tobą.

Jan. Jeszcze nie świta. Jeszczem wam nic nie zawinił.

Maciej. Ale pamiętasz o Herodzie?

Jan. Dla czego czynicie tyle wrzasku? Ten mały Herod, uganiający się za niewiastami, cóż on mnie obchodzi?

Jozafat i Maciej spoglądają na siebie przerażeni.

Jan. Idźcie, szukajcie mi Galilejczyka — budźcie zalegających stopnie świątyni, wchodźcie do domów, jeżeli trzeba, ale sprowadźcie mi Galilejczyka, abym mógł go się zapytać!

Drugi Galilejczyk. Słyszałeś? Otóż stoi tam człowiek, krzyczący za Galilejczykami.

Pierwszy Galilejczyk. Sądziłem, że mi to się śniło... Człowieku, który nam spać nie dajesz, czego ty chcesz od nas, Galilejczyków?

Jan. Wstańcie i chodźcie do mnie.

Drugi Galilejczyk. Pójdziesz?

Pierwszy Galilejczyk. Musi to być wielki w Izraelu, inaczej by nie rozkazywał.

Drugi Galilejczyk. Tak, tak, masz słusność.

Obaj wstają.

Jozafat. Rabbi.

Jan nakazuje mu ręką milczenie.

Pierwszy Galilejczyk. Oto jesteśmy.

Jan. Kim jesteście? Skąd przybywacie?

Pierwszy Galilejczyk. Jesteśmy rybakami z nad jeziora Genezaret. Nazywam się Ram, a ten jest

świekrem moim i zowie się Abia. A obaj łowimy jedną siecią. Nie prawda?

Drugi Galilejczyk. Tak, obaj łowimy jedną siecią.

Jan. Powiedz mi, ty — i ty — słyszeliście o proroku, który u was uczy w Galileji?

Pierwszy Galilejczyk. Prorok? Słyszałeś ty o jakim proroku, Abia?

Drugi Galilejczyk. O żadnym nie słyszałem proroku.

Jan. No — o człowieku, który mówi o sobie, że jest — synem bożym.

Pierwszy Galilejczyk. A! myślisz o Jezusie z Nazaretu?

Jan wstrząśnięty do głębi, półgłosem. Jezus z Nazaretu!

Jozafat i Maciej pytając się z zapartym oddechem, Jezus z Nazaretu?

Jan. Tyś pierwszy wypowiedział jego imię. Lęk zamknął mi usta... Ale jeśli go już wymieniono — tak — o nim myślę.

Pierwszy Galilejczyk. I owszem. Jego ojca — o znam bardzo dobrze... To tęgi cieśla. A i pobożny. Tak. Warto mu życzyć, aby się doczekał pociechy z syna.

Jan. Mów mi więcej o nim.

Pierwszy Galilejczyk. Jednemu z przyjaciół moich wyciosał łóżko.

Jan. O synu mi mów.

Pierwszy Galilejczyk. A, o synu. Tak, Abia, co o nim powiedzieć?

Drugi Galilejczyk. Tak, co o nim powiedzieć?

Jan. Widziałeś go kiedy?

Pierwszy Galilejczyk. A jakże.

Jan. A ty widziałeś go?

Pierwszy Galilejczyk. Z mojej łodzi kilkakrotnie. Albowiem on kręci się u brzegów i wówczas wielkie jest naokoło niego zbiegowisko: Nie prawda, Abia?

Drugi Galilejczyk. Prawda, wówczas zawsze aż czarno u brzegu. A to ryby spostrzegają. To nigdy nie jest dobrze dla nas.

Pierwszy Galilejczyk. Opowiadają mianowicie, że cuda czyni. Ja sam razu pewnego spotkałem człowieka, który był ślepy aż do — ja nie wiem do którego roku, a ten twierdził, że on mu przywrócił wzrok śliną z ust swoich. Tak, to możliwe, jednakowoż — śmieje się głupkowato.

Jan do Jozafata. A nie mówił też kto o mnie, że i ja cuda czynię?

Jozafat. Wielu to mówi, ale my to wiemy, rabbi.

Jan. Tak? Nie widziałem dotychczas innego cudu, prócz siły, i niczego, z czem by cud się stał, prócz słabości. Mów dalej, człowieku.

Pierwszy Galilejczyk. Że leczy chorych, no, to być może, ale co najgorzej, on czyni to i w sabat. To źle! to źle! A z przyjaciółmi jego to już bardzo lichy. Rozumni ludzie, zapewne-ć,

niechętnie z nim przestają. Ale jakżeż można mieć zaufanie do człowieka, który do stołu siada z celnikami i grzesznikami? A wtedy zawsze koło niego ucztowanie i świętowanie! Ach! nie — nie!

Jan. On ucztuje!

Jozafat. Mistrzu, to prości ludzie. Nie rozumieją oni mądrości w ustach niczyich.

Jan. Wielki powinien prostaczków porywać za sobą. Mędrzec powinien być mistrzem nierozumiejącego. Tego on nie uczynił. A cóż on naucza?

Pierwszy Galilejczyk. Tak, cóż on naucza?... Rozmaitych naucza głupstw... Tak: abyśmy miłowali nieprzyjacioly nasze.

Jan. Abyśmy miłowali nieprzyjacioly nasze?

Pierwszy Galilejczyk. I błogosławili tym, którzy nam złorzeczą —, i abyśmy modlili się za tych, którzy nas prześladują.

Jan. Abyśmy modlili się za tych, którzy nas prześladują?

Pierwszy Galilejczyk. Tak — i innych błazeństw więcej. A i to —

Głos z jednej z przednich baszt świątyni. Rozjaśnia się ku Hebronowi!

Jan chciwie. Dla czego nie mówisz?

Pierwszy Galilejczyk przygotowując się do modlitwy. Jakże mam mówić, wszakże czas na modlitwę poranną.

Głos bardziej oddalony. Rozjaśnia się ku Hebronowi!

Głos całkiem w oddali. Rozjaśnia się ku Hebronowi!

Wszyscy wstali i rozpoczynają modły z twarzą, zwróconą ku świątyni.

Jan bezradny, udręczony. Ku Hebronowi rozjaśnia się.

SCENA DWUNASTA.

Otwierają powoli wielką bramę. Widać pnące się tarasem marmurowe mury, u których jedna po drugiej znajdują się dwie dalsze bramy. Gmach świątyni prawie całkiem przystłonięty dymem, podnoszącym się z wielkiego ołta-całopalnego, zamykającego perspektywę. Ze szczytu góry świątynnej słychać przeciągłe tony trąb „szofar“.

Lud zaczyna napływać.

Maciej przystąpił do Jozafata i mówi potajemnie do do niego, potem zwraca się do Jana, który odwrócony stoi po lewej stronie. Mistrzu, spojrz, lud zgromadza się w świątyni.... Maluczko, a zjawi się zapewne i tetrarcha wraz z niewiastą. Nie pójdziesz pomiędzy nich, aby poznali, kto ich wiedzie?

Jan. Obraz mojego króla, jaśniejący światłością cherubinów — gdzież on jest? Gdzież siedmio-barwna tęczą naokół głowy jego? Siedm pochodni gorzało u jego tronu — już ich nie widzę!

SCENA TRZYNASTA.

Tamci, Manasse.

Manasse w pospiechu z lewej, cicho. *Macieju*, *Jozafacie*, gdzie mistrz?

Jozafat. Heród wyszedł z drzwi swoich?

Manasse potakuje.

Jozafat. Z niewiastą?

Manasse. Z niewiastą.

Jozafat. Mistrzu! Gdy ten nie słyszy. Mistrzu:

Jan. Cóż tam?

Jozafat. Heród nadchodzi!..

Jan. Kto jest Heród.

Jozafat rękami twarz zakrywa.

Maciej do *Manassego*. Wziął ze sobą żołnierzy rzymskich?

Manasse. Nie, tylko służy jego są z nim.

Maciej. Mistrzu! Słyszysz? Oddany nam jest w ręce nasze, mistrzu!

SCENA CZTERNASTA.

Tamci, *Amarja* z nowym tłumem ludu.

Amarja wołając. Janie! Gdzie Jan?

Jozafat z nagłym postanowieniem. Tutaj jest Jan.

Lud nadsłuchuje z szmerem radości. Widzicie go? Tam on jest! Tam jest Jan.

Jozafat. Wy wszyscy, słuchajcie! Nie przechodźcie mimo! A ty tam, mów! Mistrz cię słyszy.

Amarja. Heród do świątyni w książęcych nadchodzi szatach. Obok niego w blasku drogich kamieni, kroczy nałożnica.

Lud wybucha krzykiem przerażenia i buntu.

Jozafat. Mistrzu! nadeszła twoja godzina! Stań na stopniach. Przemów do nich.

Lud cisnąc się. Janie, przemów! Rabbi, przemów, co mamy czynić?

Jozafat. Odstąpcie! Chce przemówić do was! Wchodzi na stopnie.

Jan jak we śnie kroczy ku stopniom.

Lud szemrze. Patrzcie! Zatacza się! Co się z nim stało?!

Jozafat. Spiesz się. Przemów!

Głos. Patrzajcie — Heród! Tam idzie Heród!

Lud krzyczy. Ukamienujcie go! Ukamienujcie nałożnicę!

Inni. Spójrzajcie na Jana! Czyńcie, co Jan czyni, inaczej, a jesteście zgubieni!

SCENA PIĘTNASTA.

Tamci. Heród, Herodjada wraz z świtą z prawej strony.

Jan wstąpił na stopnie i stoi w środku otworu drzwi.

Heród blady, jeszcze uśmiechnięty. Słyszysz, co krzyczą?

Herodjada. Każ tego tam pojmać, inaczej śmierć twoja i moja!

Lud milczy w trwożnem oczekiwaniu. Przeważna część nabrała kamieni.

Jozafat stojący niżej na lewo od Jana, podaje mu kamień, cicho. Weź kamień. Natarczywlej. Weź kamień!

Jan bierze kamień.

Heród. Ty tam na stopniach — nie znasz mnie?

Jozafat po cichu. Rznąć kamień!

Jan słnie. W imieniu tego chce podnieść kamień, ale zatrzymuje się, jak złamany, pół pytająco który — mi — ciebie — kochać każe. —? Kamień wypada mu z rąk. Cichy jęk przeblega lud.

Dwaj z służby zbliżyli się do Jana, i pochwyciwszy go, strącają z stopni świątyni.

Herod i Herodjada wchodzą po stopniach.

Lud. Biada nam! I on nas opuścił! Biada nam!

Jozafat do Jana, którego służba zakuwa w łańcuchy. Mistrzu, coś ty nam uczynił?

Lud. Biada! biada!

Zasłona spa

Akt czwarty.

Miasto w Galileji. Scena przedstawia pełen zieleni dziedziniec więzienny, który po prawej stronie na przedzie graniczy z ogrodami pałacu Heroda, oddzielony od nich niskim murem, ciągnącym się prostym kątem aż do środka ostatniego planu sceny. Lewą stronę tego planu tworzy mur wyższy z bramą o ciężkich wrótiach. Na lewo ciężkie mury więzienia, a w niemi drzwi. Furta w murze ogrodowym na prawo, poprzez który zgina się bujna zielen drzew ogrodu, który okala także prawą stronę ostatniego planu sceny. Na przedzie, po prawej marmurowa półkolista ławka z poręczą. Na przedzie po lewej głazy, obrosłe zielenią.

SCENA PIERWSZA.

Dozorca więzienny. *Abi.*

Abi wychylając głowę z poza muru ogrodu. Ty dozorca, nie słyszysz?

Dozorca. Czego chcesz?

Abi. Piłka przeleciała przez mur. Nie widziałeś jej?

Dozorca. Nie.

Abi. Proszę, poszukaj i rzuć mi ją tutaj.

Dozorca. Poszukaj sobie sama.

Abi. Jakżeż ja to mogę, jeżeli mi furty nie otworzysz.

Dozorca. Nie wolno mi. Daj mi spokój.

Abi. Słuchaj, dozorczo, piłka jest własnością Salomy, naszej księżniczki. Jeżeli nie będziesz uprzejmy, mówię ci: strzeż się.

Dozorca. No, jeżeli to własność księżniczki.

Otwiera ocleżale furty.

SCENA DRUGA.

Dozorca, Abi. Później Salome, Maecha.

Abi woła, odpowiadając, ze śmiechem. Pani! brama otwarta, chodź!

Dozorca. Czy to tamta jest księżniczka, córka nowej jego żony?

Abi potakuje.

Salome zjawia się we drzwiach.

Dozorca. Pani, jeżeli kiedykolwiek wrócisz, obyś tak się śmiała, jak dzisiaj. Drzwi te są niebezpieczne dla dzieci Herodowych.

Salome. Cóż one dzieciom Herodowym czynią — te twoje drzwi?

Dozorca. Temi drzwiami przechodzili obaj synowie Wielkiego, zanim stracić ich kazał; temi drzwiami

Salome. Przestań, ty —! Nie znasz lepszych historyj?

Dozorca. O jakich myślisz, księżniczko?

Salome. O wczorajszych. O historjach, które się jeszcze nie skończyły. O historjach, tak młodych, jak przeciąga się my. —

Dozorca. O, jabym już znał, ale —

Salome. Ale?... Powiedz, masz jakiego nowego więźnia?

Dozorca. Tak.

Salome. Cóż zawinił?

Dozorca chytrze. Kradł kury, księżniczko.

Salome przez zęby. Uważaj, abys mi nie kradł mojego czasu.

Maecha po cichu do niego. Z tą żartować nie można.

Dozorca. Pani, przebacz, nie wiedziałem — — — czy może na myśli masz Jana?

Salome jak wyżej. Jakiego Jana?

Dozorca. Którego nazywają Chrzcicielem, proroka z Judeji, tego —

Salome. On tutaj?

Dozorca. Tak, pani. Dobrze mu jest u salamander i skorpionów.

Salome. Chciałabym zobaczyć tego Jana. Przyrowadź mi go.

Dozorca przerażony. Pani, to być nie może.

Salome. Chcę tego. Nie słyszałeś? Chcę tego.

Maecha. Księżno, tetrarcha idzie.

Salome zasłaniając się welonem. Ukryjcie się!
Przysiada wewnątrz ławki, dziewczęta uciekają w krzaki.
W drzwiach zjawił się Herod wraz z świtą.

SCENA TRZECIA.

Tamci. Herod, Merokl, Jabad, Gabal.

Herod. Dozorco!*Dozorca.* Panie!*Herod.* Któż to są ci trzej, stojący przed bramą? Spoglądali ponuro i nie pozdrowili mnie.*Dozorca.* Panie, to ostatni z tłumu, który, jak mówili, towarzyszył Janowi z Jeruzalem. Przez ośm dni i ośm nocy szli za nim.*Herod.* Ostatni, powiadasz? A gdzie inni?*Dozorca.* Zapewne leżą gdzieś po drodze, panie, i giną z pragnienia, chyba że kruki ich poją.*Herod.* Odpędźcie tych.*Dozorca.* Panie, częstośmy ich odpędzali, ale zawsze wracają.*Herod.* A zatem niech sobie stoją.*Merokl.* Oto jak łagodnego serca jest nasz władzca! Nie rozkazuje, ażeby ich porąbano na sztuki.*Jabad.* Cześć władzcy. Dwaj słudzy mu wtorują.*Herod.* Prawdę powiedziawszy, moi przyjaciele, do mędrców i błaznów nie rad się zabieram, albowiem nigdy nie można wiedzieć, czy kat ma w rękach swoich głowę mędrca czy też błazna.

Gabal. Nie pomylisz się panie, albowiem jesteś mędrce, tylko mędrce!

Herod. Nie pomyłę się, jeżeli ściąć cię każę, albowiem jesteś błaznem, tylko błaznem.... Zbliżając się ku ławce. Przeprowadźcie mi tego — spostrzega Salome, która, nadsłuchując, podniosła się nieco nad brzeg ławki, poczem znowu szybko przykucnęła. Proszę was, odstępście, aż przed bramę.

Gabal, Merokl i Jahad odchodzą.

SCENA CZWARTA.

Herod, Salome, Abi, Maecha ukryta.

Herod. Powiedz mi, ty zakwefiona, czy ty nie jesteś Salome, córka żony mojej?

Salome. Panie, jak chcę, aby straż twoja była łaskawą dla mnie — tak jestem nią.

Herod. W jaki sposób dostałaś się na ten dziedziniec więzienny?

Salome. Nie pytaj mnie, panie! Dusza moja zarumieniła się przed tobą. Ciekawość mnie tu zawiodła, gdym usłyszała twe kroki.

Herod. A gdzie towarzyski twoje?

Salome. Boją się ciebie, dla tego się schowały. Abi, Maecha, chodźcie! Pan nasz rozkazuje.

Abi i Maecha wychodzą z ukrycia, wahając się, i głęboki składają ukłon.

Herod. Oko twoje prosi za nie, przeto łajac ich nie będę.

Salome. A usta moje dziękują ci za nie. Daje znak dziewczętom, które się cofają.

Herod. Dziękują, jak zwycięzca. Harmonja w nich gości... Jakże to się działo, Salome, żem nigdy głosu twego nie słyszał?

Salome. Spytaj się matki mej, panie.

Herod ponuro. Twej matki!... Ale ja wiem, że dobrze mi życzysz. Ową służebnicę, która nocą wyносиła zdradzieckie wieści z pałacu, oddałaś mi w ręce.

Salome. Mogłam-że mniej uczynić, panie? Ale nie ukarzesz i tego, do którego je zanosila?

Herod. Nie wiem... Ale jak — —?

Salome. Panie, zdaje mi się, że mnoho ma zwolenników w narodzie. Jeżeli go oszczędzisz, naród po twojej będzie stronie.

Herod. Słowa mądrości z warg twoich płyną. Matka twoja przemyśliwa, jakby go zniweczyć. Jakżeż ty niepodobna do matki twojej, Salome.

Salome. A przecież jak podobna jestem do niej!

Herod. Wolę, aby mi się wydawało, że nie jesteś do niej podobna... Zdejm zasłonę, słodka.

Salome. Panie! Gdybyś był ojcem moim! Ale nie jesteś nim! Skoro się zbliżasz, matka sama zaciąga mi zasłonę aż na piersi.

Herod. Zdejm zasłonę.

Salome. Panie, zbyt jestem sama z tobą... To nie obyczajnie, panie.

Herod. A gdybym z innymi siedział mężami — przy uczcie — lub winie — i tybys przyszła

i zdjęła zasłonę, byłoby to obyczajniej w twych oczach?

Salome. Może... Spytaj się matki... Umiem i tańczyć, panie.

Herod. Uczyniłabyś to dla mnie?

Salome. A co ty uczyniłbyś dla mnie?

Herod. Salome!

Salome podnosząc się. Nie, prawdziwie, panie musisz się spytać matki. Zbyt jeszcze ograniczoną jestem, nie wiem, co przystoi dziewczynie. Wiem tylko, cobym chciała.

Herod. A co byś chciała?

Salome. Coby dobrem było dla ciebie, panie. Zresztą nic, nic więcej! Patrzaj! jeżeli z więźniem tym obchodzić się będziesz łagodnie, sławić cię będą, a ja dumna będę w sercu swoim i tak sobie powiem: Według twojej rady to uczynił.

Herod do dozorca. Przeprowadź tu Chrzciciela..., Rozważę to, Salome. Dozorca odchodzi.

Salome od strony furty, lekko wietrząc zasłonę. A ja podziękuję, panie!

Herod. Salome!

Salome glinie z głośnym śmiechem. Poprzedziły ją Abi i Maecha.

Herod spogląda za nią i potem siada na ławce.

SCENA PIĄTA.

Herod, Jan, Dozorca więzienia, Strażnik.

Herod. Powiedz, jak cię nazywać, aby cię uczcić?... Mniemasz, że szydę z ciebie?... Nie wiesz,

że jestem ci zobowiązany? Trzymałeś mnie w rękach swoich, jak trzymałeś kamień. Powiedz, czemuś go opuścił? Powiedz, czemuś mnie oszczędzał?

Jan. Panie, choćbym powiedział, nie rozumiałbyś mnie.

Herod. To upór, którego chwalić nie mogę. Kto w kajdanach, ten urągać może bez trudu. Zdejmcie mu łańcuchy i odejdźcie. To się staje. Dozorca i strażnik odchodzą. A teraz urągaj mi, jak człowiek, który jest na swobodzie. Jesteś-li głosicielem pokuty, proszę, głoś ją i mnie.

Jan. Panie, nie rozumiałbyś mnie.

Herod. Powiedziałeś to już raz. Wymyśl coś nowego. Tutaj w Galileji łagodny jestem i wesół. Mówiono mi, że nienawidzisz faryzeuszów, i ja ich nienawidzę. Mówiono mi, że nienawidzisz kapłanów i ja ich nie kocham. Mówiono mi, że nienawidzisz Rzymianina, ja — — — powiedz, dla czegoś mi przepuścił?

Jan. Panie, ponieważ rozbiłem się o ciebie.

Herod. O mnie, którego zowią małym? ty?

Jan. Inny rzucił mi cię na drogę moją, i rozbiłem się o ciebie.

Herod. Powiedz mi, Chrzcicielu — jak się ma sprawa z owym królem żydowskim, którego obrazowi tańczyć każesz przed ludem?... Patrzaj, odeszli stróże, a zaufanie twoje będzie ci nagrodą. Powiedz mi, któż to jest?

Jan. Panie, ja nie wiem.

Herod. I tak własnego zapierasz się tworu?

Jan. Co mojem jest, tego się zapicram.

Herod. Ha, ha, ha! Miałbym prawie ochotę przywołać tu moich Greczynków, aby się uczyli od ciebie. Słuchaj po cichu. I ja znam króla żydowskiego, który przyjdzie z mieczem podniesionym nad głową swoją — i nikomu nie przepuści, kto mu nie służył w porę.

Jan cbcwle. Któż jest ten, o którym mówisz?

Herod. Panie, ja nie wiem. — Bo oto i serce moje ukryte ma komórki i czeka słońc porannych. A teraz pozwól, Chrzycielu, ażebym z tobą pomówił na prawdę. Kolec zarzutu przeciw mnie stworzyłeś z kobiety, którą sobie ukradłem. Prawie, że mi cię żal, dla tego Ty, wielki, powinienś był wybrać coś większego, aniżeli kobiety. I wiedz, kolec ten ona mi sama zaostrza po dzień każdy... Ale dość już o tem... Mówią ko-wale, że dobry kruszec dźwięk mieć powinien nawet gdy jest pęknięty... A ty masz dźwięk. Skąd się to dzieje? Proszę, naucz tego i mnie... Cóż to, znowu milczysz?

Jan. Zdaje mi się, że już was znam, wy uśmiechający się. Tłusściejcie z dowcipu rynków, ale głód was pochwyci, gdy na szczycie gór ujrzycie jednego z statecznych.

Herod. Przez Bacha! Kryje się w tem prawda! Ale po szczytach gór. źle się chodzi. Czekamy,

aż wy spadniecie, a wówczas nie uśmiechać, lecz śmiać się będziemy.

Jan. Ale ja ci mówię, panie, ty śmiać się nie będziesz. Ten, który ma przyjść, nie potrzebował mnie, i przeto odepchnął mnie od siebie. Spójrz mu w oczy, gdy przyjdzie, a śmiać się nie będziesz. Nawet ze mnie śmiać się nie będziesz.

Herod. Widzi mi się, myślenie twoje ubogie jest i kręci się w kółko. A przecież jest coś, co mnie ciągnie ku tobie... Chrzcicielu, tak długo byłeś mi wrogiem, nie mógłbyś zostać mym przyjacielem?...

Jan. Panie! nie być niczym przyjacielem, ani wrogiem niczym, oto, zda mi się, prawo samotnego! To jedno jedyne prawo, które posiada. Zostaw mi je.

Herod. Jeszcze nie uważam cię za straconego. Gdybyś tak chciał, moglibyśmy dobry kawał iść razem.

Jan. Panie, dokąd?

Herod. Dokąd? Na szczyt.

Jan. Dla ciebie nie ma szczytu. Zostań na rynku i uśmiechaj się.

Herod. Miej się na baczności, Chrzcicielu! Kajdany twoje leżą obok ciebie.

Jan. Pozwól mi je włożyć, panie. Nie pragnę niczego lepszego.

Herod zgrzytając zębami. Zaprawdę, jesteś jednym z tych, którzy panują, choć duch się ich rozbił.

Po chwili namysłu. Ale, powiedz mi, Chrzcicielu, gdy przyjdzie tamten drugi, tamten — powiedz, czy to w jego stało się imieniu, że nie rzuciłeś kamienia na mnie?

Jan zmieszany. Panie, o coś się pytał?

Herod. Jeśli to w jego było imieniu, nie uszczupli on mi snu nocy moich — ten król żydowski! Haha!... Hejże, dozorca! zjawia się dozorca. Więzień ten może sobie wchodzić i wychodzić do woli, albowiem dla mnie niebezpieczny on nie jest.

Dozorca przerażony, po cichu. Panie, jakże ja mam ręczyć życiem — jeśli —

Herod. I uczniów jego, wyczekujących pod bramą, wpuszczaj i wypuszczaj, jak mu się podoba... Cóż? widziano kiedykolwiek w narodzie bożym łagodniejszego władcę? Z uśmiechem odchodzi w głąb sceny.

SCENA SZÓSTA.

Jan, Dozorca. Później Maecha, Salome.

Dozorca. No, teraz ty jesteś panem. Co rozkażesz?

Jan. Tetrarcha mówił o uczniach moich.

Maecha zjawiając się w bramie na prawo. Sam.

Salome daje znak dozorcey. Dozorca i Maecha odchodzą.

Jan. Czego żądasz?

Salome. Mistrzu — zapewne widzisz słońce tam, pomiędzy drzewami granatowemi?

Jan. Widzę.

Salome. Że widzisz je, zanim ono zajdzie — wiesz ty, czyje to dzieło? — Moje.

Jan. Być może. Czego żądasz?

Salome. Lecz ty nie zajdziesz. Ty nie. Albowiem dusza moja pragnie. Nauczaj mnie, mistrzu.

Jan. Czego mam cię nauczać?

Salome. Oto pobożną mam duszę. I noszę z sobą tęsknotę zbawienia.... Co dajesz ostatniemu przy gościńcu, dajże i mnie... Pozwól mi siedzieć u stóp twoich... Chcę być pobożną. Tak, chcę nią być... A gdy dotknę się twego włosiennego odzienia, nie przerażaj się. Nie knuję nic przeciw tobie.

Jan. A cóż byś ty mogła knuć przeciw mnie, dziewico?

Salome. Nie mów tego — bo odrzuciwszy mnie — kto wie dzisiaj, jaka jest moja potęga?... Gdy przeciągam członki swe, zdaje mi się, że dźwigam świat. Razkłada ramiona. Tak, ja go dźwigam, ale jedynie, aby go przycisnąć do serca.

Jan. Dziewico, masz towarzyszkę?

Salome z ciekawością. Jaką towarzyszkę?

Jan. Mirjam nazywa się.

Salome. Miałam ją. Teraz nie żyje.

Jan kiwa spokojnie głową, potwierdzając swe przecucie.

Salome. Kazałam ją zabić, ponieważ poszła do ciebie. Żadna nie może iść do ciebie, jeśli ja nie idę. Wiesz teraz jak pobożną jestem? Potęga twoja ciąży na duszy mojej i dusza znosi ją

z rozkoszą, bo nie ma potężniejszego nad ciebie! Składałam dziękczynne ofiary jak te, o których śpiewają w pieśniach, i potajemne czyniłam ślubowania. Potem poszłam w zmierzch, ażeby poszukać oblicza twego i blasku oczu twoich. Przystroiłam posłanie moje barwnymi kobiercami z Egiptu, skropiłam je myrą, aloesem i cynamonem. Oddam ci młode ciało moje, ty dziki pomiędzy synami Izraela. Chodź! A towarzyski moje czuwać będą na progu i witać poranek harfami swemi.

Jan. Zaiste! — potężna jesteś — świat dźwigasz na ramionach swoich — albowiem jesteś grzechem.

Salome. Słodka jak grzech — taka jestem.

Jan. Odejdź!

Salome. Odrzucasz mnie?... Odrzucasz mnie?

Wybiega furta.

SCENA SIÓDMA.

Jan, Dozorca więzienia, Jozafat, Manasse, Amarja.

Jan idzie ku bramie, tam, gdzie czeka dozorca.

Dozorca. Cóż? chcesz zobaczyć ucznie swoje?

Jan. Przyprawdź mi ich.

Manasae, Amarja przybiegają ku niemu i całują jego szatę. *Jozafat* pozostał.

Jan. Macieja nie ma z wami?

Jozafat. Nie.

Jan. Jaktó, Jozafacie? ty, coś zawsze był mi najbliższy, nie masz pozdrowienia dla mnie?

Jozafat się odwraca.

Jan. W takim razie, czego żądasz?

Jozafat. Rabbi, napisano jest: nóż ostrzy nóż, a mąż męża — ty zasię stępiłeś nas.

Jan. I aby mi to powiedzieć, tak daleką szedłeś drogą?

Jozafat. Rabbi, miałeś być drogą dla wszystkich błądzących, miałeś wzmacniać znużone kolana, drżące ręce przykuwać do rękojeści miecza. Dzieło twoje było gniewem, rabbi, a ty stworzyłeś z niego mędrkowanie i słabość.

Jan. Czem było dzieło moje, tego nie wiesz. Gdybym sam był to wiedział, nie byłbym tutaj. — Zaiste, nadszedł czas mojego upadku, jeśli sławią mnie wrogowie, a złorzeczą mi przyjaciele. Czego chcecie odemnie? Koniec mój samotnym być musi, a w nim milczenie.

Jozafat. Rabbi, koniec twój nic nas nie obchodzi. Koniec Izraela, oto jest, oco ja się lękam. Wzięłeś nam przykazanie, a cóż nam dałeś w zamian?

Jan. Kimże ty jesteś, że jak pies na łańcuchu, szczerzysz zęby do ud moich? Przykazanie wam wzięłem. Dusza moją unużona jest walką z przykazaniem, a czoło moje zalało się krwią, uderzając o jego mury. Wy zasię wytrzeszczaliście oczy ku mnie, dopóki stałem, a teraz tchórzliwie odbiegacie innie, gdy padam. Dla siebie nie upadłem. Upadłem dla was. Spojrz na mnie. Dwa razy grzech świata zajrzał mi dzisiaj w oczy, a przecież on

mi się słodkim wydaje, gdyż z najgorszym spotykam się teraz dopiero. Odstępcą jesteś, odstępcą byłeś, odstępcami będziecie wszyscy na wieki. Mężowie powszechnego pożytku, wy, którzy jeszcze pola swoje mierzwiecie krwią tych, co pomarli za was. Idźcie! Ja was syt jestem.

Jozafat. Odchodzę, rabbi, tam, dokąd Maciej mnie wyprzedził. Do Jezusa z Nazaretu idę.

Jan przerażony, wstrząśnięty. Do Jezusa z Nazaretu.

Jozafat odwraca się, mileząco, aby odejść. Odchodzi.

SCENA ÓSMA.

Manasse, Amarja. Jan.

Jan. Jaktó, Amarja i ty, Manasse? Ci, którym najwięcej ufałem, opuścili mnie, a wy jesteście jeszcze tutaj?

Amarja. Rabbi, zawsze byłem pośledni między uczniami twymi. Cóż byłbym wart, gdybym nie chciał być wiernym?

Manasse. A mnie nadzieję dałeś, rabbi.

Jan. Ale on idzie do Jezusa z Nazaretu. Nie bądźcie głupimi, idźcie za nim.

Manasse. Pozwól nam być głupimi, rabbi.

Jan śladając na kamieniu. Przeto usiądźcie obok mnie. Nadchodzi noc, a jam zmęczony. Cicho! Zdawało mi się, że słyszał nad sobą jakgdyby powianie skrzydeł. Nie słyszeliście nic?

Amarja. Nic, rabbi.

Jan. Rozwarło się łono mej duszy. Gotów jestem

przyjąć błogosławieństwo z wyżyny. Czy to nie poszepty jakieś naokoło? Nie słyszeliście niczego?

Manasse. Nie, rabbi.

Jan. Światłość jest ponad owemi górami. Luba jest światłość ta. A we mnie świta sens owego ęzsensu... Kto jedynie świat zbawić może? Kto jako dar poda mu to, czego sięgnąć nie można?... Jesteśmy w Galileji. Nie wiecie, gdzie naucza teraz — ów Jezus z Nazaretu?

Amarja. Słyszeliśmy na ulicach, że jest niedaleko. Przebywa nad jeziorami.

Manasse. A może zawita i do miasta — tak powiadają.

Jan. Może. Ale tylko może. A czas mój przeminął. Spieszyc się muszę, ażeby nie umrzeć! Wyświadczycie mi przysługę?

Amarja. Manasse. Rozkazuj, rabbi!

Jan. Gotujcie się i idźcie do niego.

Amarja. Manasse. Do niego?

Jan potakuje. A gdy go znajdziecie, powiedzcie mu: Jan, który uwięzion jest, zapytuje ciebie: Aż ty jesteś ten, który ma przyjść, czy też oczekiwać mamy innego? Tak go się zapytajcie, a gdy odpowie, wracajcie — jaknajspieszniej — albowiem wielką jest tęsknota moja k'niemu. Zdaje mi się, że nie mógłbym umrzeć, zanim powrócicie.

Amarja. Pójdziemy bez tchu i spoczynku.

Jan. A nie zapomnicie też o mroku moim w światłości, jego?

Manasse. Przecz nas zawstydzasz, mistrzu?

Jan. Żegnajcie.

Manasse. Amarja. Żegnaj, rabbi. Odwracają się do odejścia.

Jan. Nie odchodźcie tak. Nie jeszcze. Pozwólcie mi ująć i dłonie wasze, wy, co jesteście pośledniejszymi pomiędzy uczniami moimi! Albowiem z wielkiem wzruszeniem mniemam, że ja — was — miłuję.

Zasłona spada.

Akt piąty.

Sala w pałacu Heroda. W głębi, o dwa podwyższona stopnie kolumnada, prowadząca do otwartej balastradą zamkniętej altany, którą zamykać można odsuniętą poprzód zasłoną. Ulicę wystawić sobie trzeba prowadzącą o jedno piętro niżej. Po prawej, równolegle z kulisą boczną, o stopień wyżej, stół, a po za nim sofy, na stole kwiaty i przedmioty zbytkowe. Na prawo i lewo drzwi.

SCENA PIERWSZA.

Służba obchodzi i porządkuje kwiaty i puhary. Dozoruje ją *Gabalos*. Później *Herod*.

Jeden z służby meldując przez drzwi na lewo. Władzca!

Herod idzie za nim. I cóż, *Gabalu*, ty w dziewięciu wyprany wodach, cóż stworzyła sztuka twoja? Wiesz, goście nasi to znarowieni ludzie.

Gabal. Panie, o jedzenie i picie się nie troszcz. Znarowionemu podniebieniu podaj coś zwykłego,

a chwalić cię będzie, dla tego to przekupiłem kucharza Witeliusza. Ale to, co zresztą dać mu możemy, wygląda nie świetnie.

Herod z uśmiechem. Sądziysz?

Gabal. Założę się, iż szlachetny Merokl wypoci z siebie jakąś nową odę, a nasze libyjskie flecistki zapewne wymyją sobie w dniu uroczystości brunatne nogi. Nie ufaj, panie, tym nogom, nawet gdy umyte. Mówię ci po wszystkie dni: chorujemy na żydowską obyczajność. Żydowska obyczajność żre nas jak dżuma.

Herod. Powiedz, Gabalu, sądziysz-li, czy legat syryjski, który chłonał całą mieniącą się różnorodność tego życia, widział kiedy młodą, piękną księżniczkę, tańczącą przy stole biesiadnym?

Gabal. To byłoby wspaniałem, gdyż byłoby nowem.

SCENA DRUGA.

Tamci. Herodjada z prawej strony.

Herod spostrzegłszy ją, do Gabala. Odejdź.

Gabalos i służba usuwają się w głąb sceny, gdzie spuszczają zasłony, zamykające scenę.

Herod. Jak postanowiłaś? Stanie się?

Herodjada. Oblicze twoje promienieje. Z oczu twoich wyziera życzenie, źle utajone.

Herod zmieszany. O jakim mówisz życzeniu?

Herodjada. Nie odwracaj się. Znam ciebie, mój druhu! Znam ja to jadowite ziele, które małemi

karmisz westchnieniami, a błędnym pokrywasz uśmiechem.

Herod. Przysięgam ci, droga, jedynie dla Rzymianina proszę cię o to. A jakżeż ja bym to był uczynił, gdybyś nie ty sama półsłówkami i grą możliwości... Ty wiesz tak samo, jak i ja, że potworne musimy Rzymianinowi podawać rzeczy, aby zużona pamięć jego nie zasnęła, gdy on stanie przed cezarem.

Herodjada. Prawda. A ty sam uzyskujesz potajemną łakoć na twe nocne sny samotne. Czems więcej to nie będzie. O to niech ja się już staram — pozwól.

Herod. Proszą mam duszę, nie rozumiem ciebie.

Herodjada. Tak, proszą masz duszę, wiem o tem.

Herod. I dla tego, zdaje mi się, odmawiasz?

Herodjada. Co ja mogłabym jeszcze odmawiać tam, gdzie się młodość uśmiecha i godzi się.

Herod. A!... A czego ty żądasz za to?

Herodjada. Niczego....

Herod. Jesteś, droga, jak owi kapłani. Cóż byś ty uczyniła darmo? Dla tego proszę cię, nie zwlekaj. Powiedz swą cenę.

Herodjada. Żegnaj.

Herod spogląda za nią, wstrząsając głową.

Herodjada wróciwszy się, Jedno mi jeszcze powiedz, mój przyjacielu, zanim zapomnę: co myślisz uczynić z owym — Chrzcicielem?

Herod. Czego ty chcesz od mego Chrzciciela?

Herodjada. Mówiły mi słudźbnice, że swobodnie włóczy się po ogrodach.

Herod. Niech się włóczy; cóż on ci robi?

Herodjada. Pytałam się tylko, abym go mogła unikać.

Herod. Droga, postaram się o to, aby się nie spotkał z tobą. Ale teraz daj spokój Chrzcicielowi. Raz jeszcze: za jaką cenę, Herodjado!?

Herodjada. Spojrz na mnie. Oto masz niewiastę przed sobą, która już nie może własnem stroić się ciałem i dla tego przystraja ciało, które z niej wyszło. Oto masz przed sobą niewiastę, której piersi zapadły, albowiem oczy jej płakały krwią. I dla tego pozwala w oczach pożądliwości waszej rozkwitać pączkom, z których nigdy jeszcze nie spadła zasłona. I za tę ofiarę niesłychanej męczarni nie proszę o nic, albowiem stałam się tą, która już niczego życzyć sobie nie może. Komu wolno mieć nadzieję, niech prosi. Salome niech prosi.

Herod. Salome... Tak mi jest przyjemniej.

Herodjada. A ty spełnisz prośbę?

Herod. Nie wiem. Zobaczę. Pójdę za popędem. Ostatecznie bowiem to w walce z wami silnemi ostatnią jest mocą słabego. Uważaj, dokąd zajdę... Pani! Odchodzi.

SCENA TRZECIA.

Herodjada, Salome.

Salome wtykając głowę przez drzwi. Matko, czy tutaj mam tańczyć?

Herodjada. Chodź. Cicho! Drżysz gołębico moja? Lękasz się własnej chęci?

Salome. Schwyc mnie za rękę, matko. Nie drzę, bo wiem, że chęcią moją ty jesteś.

Herodjada. Nie ja. Ty musisz chcieć. Słuchaj: Tutaj rozłożą dywan z wełny indyjskiej, tam siedzieć będą książę i goście. Niech twoja stopa nie dotyka się posadzki, nie otwieraj oczu... Tańcz w skromności, a skończywszy, słuchaj, dobrze słuchaj, co powie ci tetrarcha. A gdy ci powie: „teraz mnie prosz”, wówczas —

Salome. Co wówczas, matko?

Herodjada. Wówczas nie prosz. Wówczas żądać możesz.

Salome z wyczekiwaniem. Czego mam żądać, matko? Złocistego dyademu — czy semijskich trzewików?... Nie... wiem, czego zażadam, zwierciadła.

Herodjada zatopiwszy rękę w włosach Salomy. Zaiste, mgdys jeszcze nie uczuła żądry nienawiści w sobie, płomiennej jak miłość nocy majowej.

Salome tając uczucie swoje, niewinnie. Nigdy, matko! jakże bym mogła!

Herodjada. I nigdy nie wylano hańby na ciebie, jak czary, napełnionej naftą.

Salome tak wyżej. Nigdy, matko, zaiste, nigdy!
Herodjada. Ani zwierciadła żądać ty będziesz, ani dyademę, ani trzewików semijskich. Tylko aby ci na misie przyniesiono głowę tego, którego zowią Janem Chrzcicielem.

Salome szcękając zębami a potem się opanowując.
 Na złotej misie?

Herodjada. O co się pytasz? Nie rozumiałaś mnie, czy też — kto — —?

Salome. Jeszcze jedno. Chcę jeszcze jedno. Oto, czy nie ma on wiedzieć — ten — ten Chrzciciel, od kogo wyszło żądanie?

Herodjada wybuchając. Zaiste! ma wiedzieć! Poza czerwoną głowę twoją, stać będę jako chęć twoja, jako wola twoja!

Salome nawpół do siebie. Jako wola mojej woli!

Herodjada Rosnąć chcę ponad nim, jako miecz wyrasta z rękawa katedy. — Słychać trąby. Chodź!...

Salome. A ja chcę rosnąć ponad nim, jak słodkie grono winne. Obie odchodzą na prawo.

SCENA CZWARTA.

Herod. Witeljusz, Marcellus i inni Rzymianie z świty legata. Merokl, Gabal, Jabad.

Herod. Bądź pozdrowion u mego stołu, wzniosły Witeljuszu, który na podszwach swoich wnosisz w dom mój świętą ziemię Romy. Bądźcie pozdrowieni wy wszyscy, towarzyszący mu na rozkaz Romy. Ona, wszystkich nas matka dobrotliwa, rozkazała jedynie to, ku czemu tęskniła dusza moja.

Witeljusz. Dziękuję, szlachetny książę.

Herod. Racz spocząć, wspaniały! Kładą się na sofy.

Gabal tymczasem do Merokla. Powiedz mi, dzielny Marcellu, jak ci się podoba ta szczypawka żydowska?

Marcellus. Do naszych uszu drogi nie znajdzie.

Herod. A gdybyś pozwolić raczył, aby tym wieńcem skroń ci ozdobiono jako pierwszemu pośród nas i panu naszemu, w zuchwałości swojej wmówiłbym w siebie, że ja u ciebie w gościnie, nie ty u mnie.

Witeljusz. U Romy w gościnie jesteś, mój książę, i dla tego biorę, co mi się należy. Kładzie na czoło wieńiec, który mu podaje jeden z służby.

Gabal Au! to bolało.

Herod prędko się opanowując. Teraz na ciebie pora mój Meroklu!

Merokl wstaje i czyta ze zwoju.

Ochłodem Hemu daleko lśniącym śniegiem,
Duszę płomienna mając skrytą w mrozie,
Łaską nas swoją powściągliwym darzy
Śmiechem Falerno.

Tak ty podwójnie lśniesz w milczącym świetle,
Tak skry nam lecą z twojego stygnięcia,
Tak my sławimy twój śmiech powściągliwy,
Cny Witeljuszu!

Aż my — —

Witeljusz. Powiedz mi, drogi, czego chce ten człowiek?

Herod. Nie podobał ci się, o wzniosły?

Witeljusz. Zdawało mi się, jakby wymienił me imię. W razie, jeśli żąda jakiej łaski a przyrzeknie, że odtąd milczeć będzie, — wyświadczę mu ją!

Gabal. O, przyjaciele moi, co za sukces!

Witeljusz. Ale pawia wątróbka twoja jest smakowita, drogi mój Herodzie.

Herod. Jak ty mnie uszczęśliwiasz, o wzniosły! Nie raczysz rozkazać, aby się zjawily moje flecistki libijskie, aby twe ucho — —?

Witeljusz. Ucho moje posłuszne, drogi. Niech wejda.

SCENA PIĄTA.

Tamci. Salome w głębokiej zastonie wchodzi, prowadzona przez Herodjadę. Rozbrzmiewają harfy. Szmer podziwu przy stole.

Witeljusz Czy to są twoje libijskie —?

Herod. który był powstał. Wzniosły, oto ma żona.

Witeljusz podnosząc się. Pani, chcesz-li uroczystość tę ozdobić uśmiechem swoim — bądź pozdrowiona.

Herodjada. Szlachetny Witeljuszu, wybac! Obyczaj wschodu, nad którym chwalebnie panujesz, nie pozwala mi przy boku twoim zasiąść do uczy. Pan mój i małżonek. żarliwie pragnący przypodobać się tobie, rozkazał mi, abym, przystroiwszy siebie i córeczkę moją, stanęła przed twem obliczem, iżby ona, jakkolwiek drżąca, rozradowała oko twoje — dziewica kunsztem dziewiczym.

Witeljusz. Cześć ci, mój książe, i szlachetnej małżonce twojej. Roma skąpą nie będzie, gdyś ty tak hojny. Jakto, nie słyszysz?

Herod wlepiając oczy w Salome. Wzniosły, nie patrzysz?

Witeljusz. Zaiste! ma słuszność. Otwórzcie oczy swe, Rzymianie, bo co teraz dźiać się będzie, to kunszt nad kunszty. A gdy drzeć będziesz, dzie-wico, pamiętaj, że jesteś władczynią, dla tego, że drżysz.

Marcellus. Trzeba wam przyznać, Gabalu, że nie dajecie się pospolitować.

Gabal. Ach! mój waleczny Marcellu, proszę cię, popatrz tylko, trzyma to się jeszcze karku?

Marcellus. Kto? co?

Gabal. Głowa! głowa! Przypatrz się tylko Herodjadzie! Zapłaci to ktoś głową! Tylko dotychczas nie wiadomo jeszcze, kto!

Marcellus wskazując na Salome. Milcz! — patrz!

Salome uwolniła się z objęć Herodjady i rozpoczyna tańczyć wśród mimowolnych okrzyków podziwu i zachwytu. Taniec jej staje się dzikazym, powoli rozwija zasłonę, to ukrywa się w lubieżnej wstydlivości to rozwija ją na nowo, aż staje zupełnie bez zasłony z nagim wrzekomo biustem, następnie pół z wyczerpania pół dla złożenia hołdu pada przed Herodem, siedzącym po prawej stronie stołu.

Wszyscy wybuchają głośnym podziwem.

Herod rzuca się ku niej, aby ją podnieść.

Herodjada która cofnęła się aż do prawego proscenium i wszystkim przyglądała się z bolesną, wyczekującą grą ryców, wkracza pomiędzy nich, aby mu zabronić. Mierzą się oboje wrogiem spojrzaniem.

Herod ochryple. Salome!

Salome. Panie!?

Herod. Wstań i mów!

Salome powoli się podnosząc. Co mam mówić, panie?!

Herod. Ubogi ze mnie człowiek. Synowi Heroda, który jakby dla urągowiska sam także Herodem się nazywa — synowi Heroda nie wiele pozostawił Rzym z ojcowskiego dziedzictwa. Ale jeszcze tyle posiada, że ci może podziękować. Mów, czego żądasz? A na tego Boga i Pana, przed którym boso w proch klękamy w Jeruzalemie, przysięgam ci, że otrzymasz!

Salome. A zatem proszę i żądam, abys mi dał na misie głowę Jana, którego zowią Chrzcicielem.

Herod. Herodjado! — ty!

Witeljusz. Drogi, czyjej ona chce głowy?

Herod. Męża, wysoki legacie, siedzącego w mojem więzieniu, a któregoś czcic się nauczył, abym nie powiedziai: kochać.

Witeljusz. O! o! — A tego człowieka, o którego głowę tańczą u was córki książęce — czy można go widzieć?

Herod. Przyprowadźcie go! Służba odchodzi. Dzieweczko! Matka twoja uwiodła cię. Nie wiesz, o co prosisz. Cofnij.

Salome. Proszę i żądam, abys na złotej misie dał mi głowę Jana, którego zowią Chrzcicielem

Milczenie.

Herod. A jeśli-ć odmówię?

Herodjada podnosząc głowę. Przysiągłeś, Panie!

Witeljusz śmiejąc się. Nie inaczej, drogi, przysiągłeś. Wszyscyśmy słyszeli... A! co za boga leśnego nam tu wiodą?

SCENA SZÓSTA.

Tamci. Jan prowadzony przy dwóch zbrojnych.

Herod. Kazałem cię przywołać Chrzcicielu. Żal mi ciebie. Gotój się. Nadszedł zachód dni twoich, przyjacielu.

Jan. Jestem gotów, panie!

Herod. Zrozumiej mnie. Zaiste, żal mi. Ale umrzeć musisz. W tej chwili. Na miejscu.

Jan zwróciwszy się ku drzwiom, szukając. Panie, udziel mi zwłoki.

Witeljusz. Zbyt gotowym nie wydaje mi się, ten twój bohater. Maluczko, a szlochać będzie.

Herod. Chrzcicielu, na co ci tej zwłoki?

Jan. Wysłałem posłów i czekam ich powrotu.

Herod. Do kogo wysłałeś tych posłów?... Milczysz?... Tak, jak powiedziałem, bardzo mi żal. Jeszcze niejedno mogło być z ciebie. Przecież...

Wzrusza ramionami.

Jan wyciągając ramiona, boleśnie. Proszę cię, panie!

Herod. Tej dziewczeczki prosić musisz, Chrzcicielu. Wiedz, w jej rękach spoczywa ta odrobina przypadku, którą nazywasz życiem.

Solome. Mistrzu, widzisz teraz, jak potężną jestem? A więc proś mnie! proś mnie!

Herodjada po za nią, po ciehu. Ale gdy prosić będzie, zaśmiejesz się z niego.

Salome. Może. Któż wie, czego się zachce mej duszy?... No, dla czego nie prosisz?...

Jan. Dzieweczko — ja —

Salome. Patrz oto kamień... Kamień ten pragnie twych kolan. Pauza.

SCENA SIÓDMA.

Tamci. Dozorca więzienny.

Herod. Po co się pchasz tutaj?

Dozorca. Panie! przebac! Gdybym nie wiedział, że temu tam jesteś życzliwy —

Herod. Cóż się z nim stało?

Dozorca. Dwaj z jego przyjaciół, którzy wczoraj byli u niego — widziałeś ich przed bramą — przyszli z powrotem, a usłyszawszy, że idzie o jego życie — służba mi się z tem zwierzyła i dla tego-m przygotował wszystko — poczęli zachowywać się jak opętani i żądali, abym ich zaprowadził do niego, gdziekolwiek by się znajdował.

Herod. Jak myślisz, wysoki legacie?

Witeljusz. Drogi, najkrotochwilniejsze to widowisko, jakie kiedykolwiek dano przy stole. Niech przyjdą. Niech przyjdą.

Herod daje znak.

Dozorca więzienia podchodzi do portjery i daje znak.

SCENA ÓSMA.

Tamci. Manasse, Amarja.

Chcą rzucić się ku Janowi, powstrzymani jednak obawą, stają na miejscu.

Jan. Co macie mi powiedzieć?

Manasse. Mistrzu! —

Herod. Głośniej, głośniej, moi drodzy! Jeżeli nie chcecie, abyśmy słyszeli i my, to każę was stąd wywlec, każdego inuemi drzwiami.

Manasse. Mistrzu, czy możemy?

Jan. Mówcie! albowiem mi się zdaje, że jesteśmy tu zupełnie sami.

Manasse. Wartkośmy szli, mistrzu, drogą ku Betsaidzie, a gdy zaświtał ranek, znaleźliśmy go.

Jan. Znaleźliście go?

Manasse. I mnogo było ludu naokoło, spoczywającego pośród ogrodów oliwnych i sławiącego Pana za cuda, które się na nim spełniły w tym czasie. I oto blask był wszelakiej żrenicy i słodkie brzmienie w uściech wszelakich.

Jan. A on? Jakież było oblicze jego i jakież jego ruchy?

Manasse. Mistrzu, ja nie wiem.

Jan. Wszakci go widzieliście?

Amarja. Rabbi, pytałeś się kiedy: jakim jest

oblicze słońca i jakie są ruchy światła?... Ujrawszy uśmiech jego, padliśmy przed nim na ziemię, i przestronność stała się w duszy naszej i spokój wszedł do niej.

Jan. A gdyście go zapytali i on mówić rozpoczął, jaka była mowa ust jego? Wyjawcie: oto stoję i czekam jego gniewu.

Amarja. Bynajmniej, rabbi. Mowa jego była jako mowa brata.

Manasse. Słodka była — jak mowa wiatru, wiejącego od morza ku wieczorowi.

Amarja. A tak powiedział: Idźcie i powiedzcie Janowi, co widzicie i co słyszycie. Ślepi widzą, chromi chodzą, umarli powstają, a ubogim głoszona bywa ewangelja.

Jan. Ubogim — tak powiedział?

Manasse. Nie inaczej, tak powiedział? A jako się gotował, ażeby z otaczającym go ludem przybyć do tego miasta, szliśmy z nim razem aż do bramy — zasię pospieszyliśmy naprzód według słowa twego.

Jan. I nic nie powiedział więcej do was? Przypomnijcie sobie.

Amarja. Tak, powiedział jeszcze jedno, Błogosławiony, powiedział, kto nie odejdzie odemnie zgorszony. Atoli słowa tego nie rozumieliśmy.

Jan. Ale ja je rozumiem. Ja, do którego on to mówił. Ja się nim zgorszyłem, albowiem nie poznałem go. A zgorszenie moje napełniło świat,

albowiem go nie poznałem. Wy sami jesteście świadkami mymi, jakom powiedział, że Chrystusem nie jestem, lecz przezeń zesłany. Atoli człowiek nic sobie wziąć nie może, chyba że mu jest danem z nieba. A mnie nic nie było danem. Klucze śmierci — jam ich nie trzymał; szale winy — mnie ich nie powierzono. Albowiem w niczyich uściech imię winy rozbrzmiewać nie może, a tylko w uściech kochającego. Ale ja paść was chciałem żelaznymi różgami! Dla tego zepsowało się królestwo moje i głos mój zapięczętowan. Słyszę naokoło szum wielki, a światłość błogosławionych prawie mnie osłania. Tron na słupach ognistych zestąpił z niebios. A na nim w szatach białych zasiadł książę pokoju. A miecz jego zowie się miłość, a miłosierdzie oto jego hasło bojowe... Patrzcie, oto ma oblubienicę, a on jest oblubieńcem. A zasię przyjaciel oblubieńca stoi i słucha go, raduje się głosowi nadchodzącego... Ta sama radość moja — teraz się spełniła. Staje z rozłożonymi ramionami, oczy mając wzniesione ku niebu. Manasse i Amarja padają mu do nóg.

Witeljusz. Drogi, zdaje mi się, że mamy już dość tego obłąkańca.

Herod pomędzy wzruszeniem a szyderstwem. Janie, zaprawdę, żał mi ciebie. A gdy przyjdzie ten, o którym majaczyłeś, tak go pozdrowię, jak pozdrawiam ciebie! Hahahaha! Prowadźcie go na stracenie!

Salome. A więc, prosź mnie! Gdy Jan z uśmiechem wzrok swój kieruje ponad nią. Matko, on nie prosi? Jana wyprowadzają, zanim postępują Amarja i Manasse.

SCENA DZIEWIĄTA.

Witeljusz i jego Świta. Herod, Herodjada, Salome, Merokles, Gabalos, Jabad.

Witeljusz. Mój drogi, troszeczkę był niespokojny, ten twój obiad. Gdy Herod ma jeszcze wzrok utkwiony w drzwi, któremi wyprowadzono Jana. Ale ja mogę sobie gadać, a on mnie nie słucha.

Herod. Wspaniały, przebacz!

Salome przekradła się z przygnębią ciekawością poprzez scenę aż do drzwi na lewo i rozsuwa zasłonę. Po krótkim, pożądlivem patrzeniu pada z krzykiem w objęcia Herodjady. Po za sceną, za kulisą środkową wzniosł się nasamprzód cichy, a potem coraz to żywazy szmer wielu głosów.

Witeljusz. Proś niewiasty, aby usiadły. Ale też źle wychowany masz naród. Hałasuje po ulicach podczas gdy my siedzimy przy obiedzie.

Herod. Czy to już o Chrzcicielu? Gabalu, idź, popatrz i nakaż im milczenie.

Gabal. Tak! panie! odchodzi na lewo z tyłu.

Salome wskazując ku drzwiom, których portjera otwarta. Matko, spojrzuj, co oni tam niosą. Wybiega.

Herod wchodząc po stopniach. Czego ona tam chce?

Herodjada. Panie! prostą masz duszę. Radzę ci: odwróć się.

Herod. Co ona czyni?

Herodjada. Tańczy. Trzyma misę z głową Chrzciciela w rękach do góry i tańczy.

Jahad. Patrzcie: ona tańczy!

Herod. Tak więc stałaś się zgubną dla własnej krwi. Wszystkich nas zgubisz.

Herodjada rusza z uśmiechem ramionami.

Merokles. Chwieje się! Pada!

Herodjada spokojnie wychodzi.

Merokles. Głowa się stoczyła.

Marcellus. O zgrozo!

Herodjada wraca z Salomą w objęciach.

Salome. Matko! Gdzie jest misa? gdzie głowa?

Herodjada. Skłoń się, Podziękuj.

Salome do Heroda. Panie, jam jest kwiat w Saronie i róża przy dolinach. Kto mi podziękować pragnie, ten mnie zerwie... Patrzcie jego głowa!...

Herod. Wyprowadzić mi niewiasty!

Herodjada kłania się i z uśmiechem wyprowadza na pół omdłą Salome na prawo.

SCENA DZIESIĄTA.

Tamci bez Herodjady i Salomy, Gabalos zjawił się znowu.

Heród. I cóż?

Gabal. Naród nie do uśmierzenia. Mężowie i niewiasty w strojach świątecznych napełniają ulice i dachy. Niosą palmy w rękach, radują się i śpiewają.

Herod. Co śpiewają?

Gabalos. Panie, ty wiesz, że głupi nie jestem, a przecież ledwie się ważę powiedzieć.

Herod. Mów!

Gabal. Hosanna temu, który ma przyjść! Hosanna królowi żydowskiemu! Tak śpiewają.

Herod zgrzytając. Jana kazałem ściąć. Któż zasie jest ten?

Gabal. Panie, jeśli chcesz go widzieć. Mówią, że tędy przechodzić będzie.

Herod. Chcę go widzieć. Chcę go pozdrowić, jak przyobiegałem. Hahahaha! Otwórzcie!

SCENA JEDENASTA.

Rożsuwają zasłony. Widać dachy napełnione kobietami, które powiewają palmami. Inne gałęzie palmowe wraz z rękami, które je trzymają, podnoszą się do góry z głębiej położonej ulicy. Krzyk wzbiera potężnie i zmienia się w śpiew harmonijny.

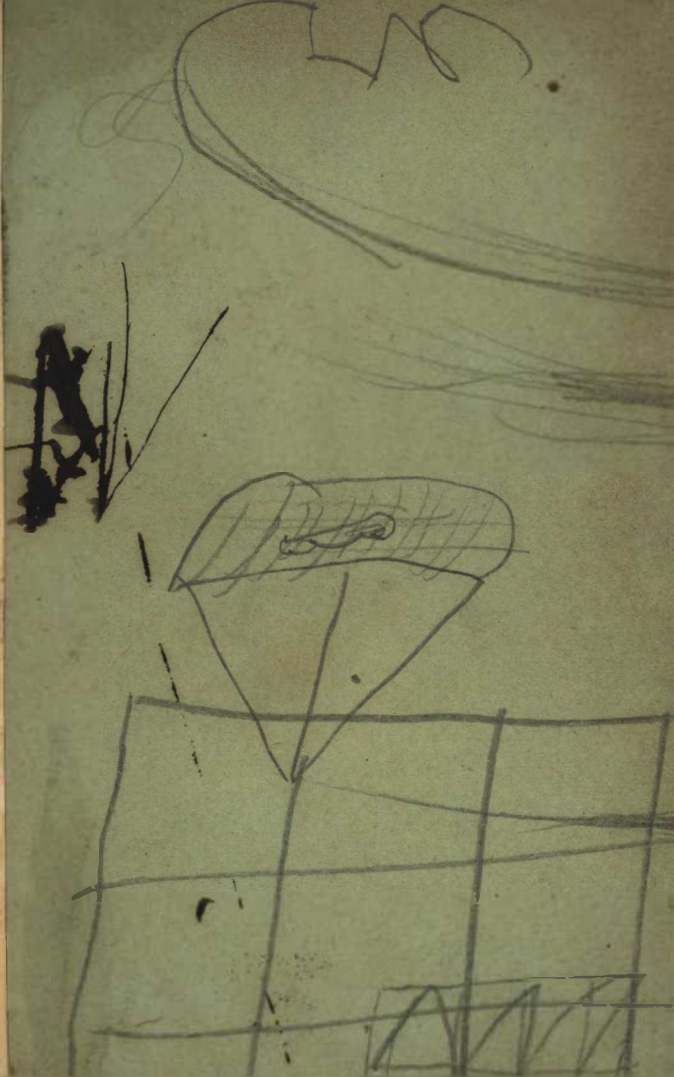
Witeljusz który jadł dalej, odwracając się szorstko. Cóż tam się znowu dzieje?

Herod pochwycawszy puhar, skacze na najwyższy stopień. Bądź — mi — pozdrowiony — ty — królu — — ży — patrzy, urywa nagle — puhar wypuszcza z dłoni — odwraca się i płaszczem twarą sobie zakrywa.

Inni stoją również spoglądając na dół w milczącym podziwie. Od strony ulicy wznosi się brzmiące „hosanna.“

Zasłona spada.

KONIEC TRAGIEDJI.



Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 18456

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000171547